

dźwiganie
ducha

Ucieczka
generała

Palacz

Konkurs
NA DŁUGIE
WIECZORY

Sceny
młosne

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

małdodrze

C-150/IV

ZIELONA GÓRA 30 XI — 13 XII 1986 R.
ROK XXX NR 24 [629] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

U nas potrafią się kochać

Z dr Michaliną Wisłocką
rozmawia Zbigniew Izdebski

— Pani doktor, podstawową Pani specjalnością jest ginekologia. Zajęła się Pani również z dużym zaangażowaniem seksuologią. Znana jest Pani ze swoich licznych publikacji, z występów telewizyjnych, najbardziej jako autorka „Sztuki kochania”. Trzeba mieć dużo odwagi, żeby mówić tak otwarcie o tej sferze ludzkiego życia...

— Zawsze byłam adoratorką Boya-Zeleńskiego, który ośmieszał obyczajowe zakłamanie. W ramach Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa (obecnie Towarzystwa Rozwoju Rodziny), zaproponowałam zorganizowanie poradni, która zajmowałaby się w sposób kompleksowy wszystkimi sprawami rodzinnymi: antykoncepcją, niepłodnością, wychowaniem seksualnym, prowadzeniem ciąży, ginekologią i seksuologią. Poradnia, która powstała, była jedną z pierwszych poradni seksuologicznych w Polsce.

— W przedmowie do Pani książki doc. Jacewski z dużą sympatią i przychylnością solidaryzuje się z Pani stanowiskiem, twierdząc jednocześnie, że w książce tej podaje Pani nawet pewne przepisy, nieraz prawie takie jak w książce kucharskiej.

— Bo ja wiem? Trudno powiedzieć — przepisy... Czasem trzeba pewne rzeczy dokładnie wyjaśnić. Od „becadla”. Jestem wrogiem wszelkiego rodzaju instrukcji, przepisów itp. Zawsze twierdziłam, że myślenie ma dużą przyszłość a każda sprawa życiowa warto prze-myśleć na swój sposób.

— „Sztuka kochania” jest napisana dla ludzi młodych, obojga płci, przede wszystkim dla kobiet.

— Granicę określiłam wyraźnie do 35 lat. Jest to książka dla kobiet pozwalająca im poznać fizjologię i funkcjonowanie własnego organizmu: a dla mężczyzn aby cokolwiek o kobietach wiedzieli, bo tyle wiedzą, co im się wyobraża albo zdaje.

— Skoro dla kobiet i o kobietach, to czym wobec tego tłumaczyć fakt, że po lekturach seksuologicznych pojawiają się ostatnio w poradniach przeważnie mężczyźni?

— To chyba wiąże się nie tyle z moją książką, lecz także z problemami,

które wyjaśniam w drugim tomie „Sztuki kochania”. A, że w poradnictwie seksuologicznym mężczyźni stali się częstymi pacjentami, mnie nie zaskoczyło. Wiąże się to z problemem młodzieńczych zaburzeń funkcjonalnych, które wynikają z nadmiaru „uświadomienia”. W medycynie nazywamy takie zjawiska chorobami jatrogennymi. Trudno o tym krótko powiedzieć. Sprawa jest bowiem treścią 160 stron drugiego tomu „Sztuki kochania”.

— Nie sądzi Pani, że po Pani publikacjach kobiety zaczęły stawiać zdecydowanie większe wymagania mężczyznom?

— Nie wiem. W mojej książce napisałam, co kobieta powinna robić, aby osiągnąć zadowolenie. Jak zauważyłam, wszystkie wyczytały grzecznie to, co powinien mężczyzna, a zlekceważyły sprawy dotyczące ich własnej aktywności w tej dziedzinie. Jeżeli ktoś chce winić moją książkę za to, że kobiety zwiększyły wymagania w stosunku do mężczyzn, to powinien równocześnie winić kobiety za to, że nie zwiększyły wymagań w stosunku do siebie. Bardzo rzadko mają ludzie tyle samokrytycyzmu, by szukać winy w sobie. W II tomie znajdują kobiety szerokie naświetlenie także i tej kwestii.

— Działalność Pani była związana z planowaniem rodziny. Myślę tutaj nie tylko o sprawie antykoncepcji ale również o leczeniu kobiet niepłodnych.

— Doktorat robiłam z niepłodności i jej przyczyn hormonalnych.

— W Księdze Rodzaju Ludzkiego napisano: „Badzcie płodni, rozmnażajcie się i wypełniajcie Ziemię”. To rozmnażanie w Polsce jest w ostatnich latach dość intensywne, prawda?

— No i co? Martwi się Pan z tego powodu?

— Nie, ale interesuje mnie jak ocenia Pani to zjawisko?

— Jesteśmy narodem młodym, prężnym, więc jest to zjawisko pozytywne. Niech się martwią Szwedzi, Duńczycy,

Ciąg dalszy na str. 5



Fot. ELŻBIETA WALEŃSKA

Z dziejów

Polski Ludowej

BITWA O HANDEL

Jan Golec

Polska Ludowa przejęła po II Rzeczypospolitej trzy zasadnicze nie rozwiązane problemy strukturalne: mało chłonny rynek zbytu, dużą zależność od obcych kapitałów i bezrobocie. Bez rozwiązania tych problemów trudno byłoby stworzyć warunki do szybkiego rozwoju kraju. Reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu i likwidacja bankowości prywatnej stworzyły warunki do rozszerzenia rynku zbytu na wsi i uwolniły kraj od zależności kapitału zagranicznego. Równocześnie doprowadzono do likwidacji dwóch podstawowych klas, których interesy pozostawały w zasadniczej sprzeczności z interesami proletariatu przemysłowego i chłopstwa, to znaczy klasy obszarników i burżuazji.

Trudności przeżywane przez rolnictwo, niedostateczny wciąż poziom produkcji artykułów przemysłowych, odbiły się na stosunkach rynkowych. Należy pamiętać, że w 1946 r. na około 170 tys. zakładów handlowych — 150 tys. należało do prywatnych właścicieli. Firmy prywatne, szczególnie hurtowe, były wprawdzie mniejsze od uspołecznionych, jednakże przy tak dużej ich liczbie państwo miało ograniczone możliwości oddziaływania na obrót towarowy. Wykorzystując niestabilizowane warunki rynkowe, sezonowe braki w zaopatrzeniu, a także niedoskonałą po-

litykę handlową państwa, handel prywatny, jak wówczas szacowano, zdołał przeżyć w 1947 r. około 10 proc. dochodu narodowego. Spekulujący kupcy wykupywali niektóre towary, a następnie sprzedawali je po wygórowanych cenach. Na zjawisko to zwracali uwagę dziennikarze zagraniczni akredytowani w Polsce. Korespondent duński, przebywający w marcu 1946 r. na Dolnym Śląsku stwierdził, że za 1 metr materiału tekstylnego „prywatniarze” żądali około 6 tys. zł. Godziwy zysk na Zachodzie wynosił 25 proc. wartości towaru, w Polsce od 100—300 proc. Dziennika-

rzy zachodnich bulwersował wystawny tryb życia osób rekrutujących się z tzw. inicjatywy prywatnej, przy równocześnie niskiej stopie życiowej ogółu społeczeństwa. Część prywatnych firm uprawiała przy tym różne formy handlu nielegalnego (np. złotem i walutą mi obcymi, bimbrem), ułatwiała potajemny ubój zwierząt itd. Podobnej działalności sprzyjały nastroje niepewności, gdy dość powszechnie panował przekonanie, że rząd będzie ograniczał zakres „inicjatywy prywatnej”. Spekulacja rozwinęła się zwłaszcza w 1947 r. w związku z nieodpowiadającą rosnącemu zapotrzebowaniu towarową produkcją rolnictwa.

Ostry wzrost cen spowodował wówczas spadek płac realnych ludności miejskiej. Dla przeciwdziałania tym niepożądanym zjawiskom przedsięwzięto szereg doraźnych środków. Powstały społeczne Komitety Kontroli Cen, których zadaniem był nadzór nad cenami w prywatnych sklepach, oraz Komisja Specjalna do Walki ze Spekulacją i Nadużyciami. Jednakże administracyjnymi

metodami nie udało się pokonać trudno ści spowodowanych brakiem dostatecznej masy towaru.

Wiosną 1947 r. nastąpiło pogorszenie sytuacji gospodarczej kraju. Dotkliwy był deficyt żywności, Szef misji UNRA w Polsce stwierdził, że Polska potrzebuje dodatkowo około 350 tys. ton żywności, w pierwszym rzędzie ziemniaków i zboża. Niedostatek podaży towarów z produkcji krajowej spotęgowany został poważnym ograniczeniem przywozu z zagranicy. N skutek zamrożenia ciał portów zmalały dostawy artykułów konsumpcyjnych oraz surowców. W tej sytuacji rząd podjął wysiłki skierowane na: usprawnienie systemu podatkowego, ustalenie zasad kontraktacji roślin przemysłowych, podwyżki cen sztywnych i komercyjnych ograniczenie zakresu zaopatrzenia kartkowego i związanej z tym regulacji plac, udzielenie kredytów na akcję siewną. W marcu 1947 r.

Ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

Polska i Grecja

W związku z odbywającym się w Zielonej Górze II Krajowym Zjazdem delegatów TPP-G chciałbym zatrzymać się na ostatnim okresie wzajemnych stosunków między naszymi krajami. Nie ulega wątpliwości, że nowy rozdział w tych stosunkach otworzyła doniosła wizyta premiera Grecji Andreas Papandreu — który jako pierwszy szef rządu spośród państw członkowskich NATO — odwiedził Polskę w ostatnich dniach października 1984 roku. W komunikacie opublikowanym na zakończenie tej wizyty czytaliśmy m.in.: „Polska i Grecja nadal będą opierały swe wzajemne stosunki o zasady przyjęte w prawie międzynarodowym, tak jak zawarte one zostały w Kartie Narodów Zjednoczonych i Akcie Końcowym KBWE.”

Fragmencie ten świadczy o tym, że między różnymi napięciami między krajami na szczeblu kontynentu, należącymi do różnych bloków, idea współpracy państw europejskich toruje sobie drogę między krajami naszej strefy świata. Szermierzy tej idei są także Polska i Grecja, które dają przykład konstruktywnego pokojowego współistnienia między państwami o różnych ustrojach społecznych i rozwoju między nimi przyjacielskich — a w wielu dziedzinach — serdecznych stosunków. Dowiodła tego właśnie pamiętna wizyta premiera Papandreu i jego owocne rozmowy z gen. Jaruzelskim. W toku tej wizyty wyraziły one niezłomną wolę rozwijania takich stosunków w dziedzinie zahamowania wysiłku zbrojeniowego, umocnienia pokoju i odbudowania międzynarodowego dialogu. Dowodem tego — stanowisko zajęte podczas obecnej sesji KBWE i ocena jaką wyrażono zarówno w Warszawie jak i w dużym stopniu w Atenach wobec przebiegu spotkania w Reykjavíku, które dawało szansę — w oparciu o propozycje radzieckie — do otwarcia nowego rozdziału w stosunkach międzynarodowych.

Jeśli chodzi o zagwarantowanie tego pokojowego ładu, zwłaszcza na naszym kontynencie, kraje nasze reprezentują zbliżone stanowisko. Uważają one, że należy wygaszać wszelkie regionalne konflikty, popierać tworzenie stref bez atomowych (zwłaszcza w Europie środkowej i na Bałkanach) definitywnie położyć kres wyścigowi zbrojeń. Wszędzie tam, gdzie dochodzi do współpracy dwustronnej, które zresztą rozwijają się pomysłowo we wszystkich dziedzinach. Oba kraje postanowiły wówczas rozpocząć szeroką współpracę polityczną, ekonomiczną, kulturalną i naukową — techniczną. Podpisane dokumenty stworzyły podstawy do dalszego rozwoju wymiany handlowej i współpracy gospodarczej. Pamiętamy, że to właśnie Grecja wystąpiła przeciwko restrykcjom nałożonym przez EWG na Polskę. Wizyta premiera Papandreu w Polsce (a przypomnę tu wysoką ocenę jego osoby daną przez gen. Jaruzelskiego i wzajemne podkreślenie wybitnej roli i osobowości przywódcy polskiego przez premiera greckiego) otworzyła drogę do wszechstronnej współpracy, w oparciu o zasady partnerstwa i przyjaźni.

Wyrazem symbolu łączącej tradycje przyjaźni naszych narodów stał się udział naszej delegacji pod przewodnictwem prezesa TPP-G Henryka Stawskiego w podniosłej uroczystości odsłonięcia w Salonikach pomnika bohatera obu naszych narodów, Jerzego Szajnowicza — Iwanowa. Działalność TPP-G polega nie tylko na popularyzowaniu antycznej Hellady ale i tej współczesnej, jak ją określił ambasador Grecji w PRL Leonidas Evangelidis w liście do naszej redakcji — „Grecji bez kolumn”.

Dalszym rozwinięciem naszej wspólnej drogi przyjaźni i współpracy stała się wizyta ministra M. Orzechowskiego w Atenach. Jego negocjacje z przywódcami greckimi stanowią nowy impuls dla naszych wzajemnych stosunków. W ogłoszonym po rozmowach komunikacie stwierdzono, że wykazały one zbliżenie bądź identyczność poglądów we wszystkich omawianych problemach międzynarodowych. Raz jeszcze podkreślono — co jest tak istotne dla nas — że poszanowanie powojennego ładu w Europie jest podstawowym elementem utrwalenia pokoju, na naszym kontynencie. Potwierdzono nieugiętą wolę dalszego rozwijania stosunków między Polską a Grecją w duchu przyjaźni i pełnego wzajemnego zrozumienia.

Do tego chwilebnego dzieła swój wkład TPP-G, do problemów którego będziemy jeszcze wielokrotnie powracać, popularyzować jego szlachetne cele i ideały.

MICHAŁ HOROWICZ

Sytuacja i zadania

II PLENARNE posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, odbyło się w sobotę 11 października, kampanii wyborczej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zostały wyłonione władze partyjne województwa, miast, gmin, zakładów pracy. Stoi przed nimi pięcioletnie zadanie realizacji uchwały X Zjazdu i programu przyjętego przez XIX Konferencję Wojewódzką.

W dziedzinie gospodarki zadania te polegają na: przywrócenie w możliwie najkrótszym czasie ogólnej równowagi ekonomicznej na rynku dóbr konsumpcyjnych i inwestycyjnych, oraz równowagi finansowej państwa. Po drugie, jest to przyspieszenie modernizacji majątku produkcyjnego, przede wszystkim przez zmianę struktury nakładów inwestycyjnych. Po trzecie, jest to zdecydowane zwiększenie możliwości eksportowych. Po czwarte, zadaniem ważnym jest wykorzystanie zasobów pracy, rezerwy energetycznej — surowcowych, eliminowanie marnotrawstwa. Po piąte, koniecznością jest unowocześnienie i usprawnienie systemu kierowania gospodarką.

Nie są to proste zadania. Centralny Plan Rozwoju na 1987 rok zakłada 3

procentowy wzrost produkcji, przy wzroście zatrudnienia o 0,3 proc. wzrostie podaży surowców, materiałów, paliw, energii, tylko o 1,8 proc. Dodatkowym elementem utrudniającym jest nie zahamowana jeszcze dekapitalizacja maszyn i urządzeń. W branży elektromaszynowej 72,5 proc. maszyn i urządzeń jest fizycznie i moralnie zużytych. W budownictwie 70,7 proc., w kłownictwie 69,6 proc., meblarstwie 67,6 proc. Kluczowe dziedziny przemysłu pracują po prostu na szmelcu.

Aby obraz gospodarki był jeszcze pełniejszy, dodać warto, że niedobór mieszkaniowy województwa wynosi 33 tysiące. 29 tysięcy osób zarejestrowanych w spółdzielniach kwalifikuje się do natychmiastowego otrzymania mieszkania. Czekają na spełnienie swego życiowego marzenia od 8 do 12 lat.

W dziedzinie eksportu, kwestii dla kraju niesłychanie ważnej, gospodarka regionu ma również duże zobowiązania. Oto wartość produkcji adresowanej do „brutego obszaru płatniczego, w przeliczeniu na jednego obywatela kraju wynosi około 166 dolarów, zaś na mieszkańca województwa tylko 55 dolarów. Prawie połowę eksportu realizują cztery przedsiębiorstwa wojewódzkie.

Zadania gospodarcze są ogromne. Ich realizacja — innego wyjścia nie ma —

zależy jest od determinacji, kondycji samej partii, a zwłaszcza od spełnienia możliwości — a zwłaszcza od spełnienia w najszerszych kręgach społeczeństwa. W społecznym odczuciu, nasze działania pozostają nie dość energiczne, wynikają z pojawiającej się w wielu środowiskach obojętności w załatwianiu spraw dokuczliwych, w nie wystarczającej konsekwencji w zwalczaniu zła i niesprawiedliwości, tolerowaniu marazmu, w liberalnym podejściu do kierunków działania, bez inwencji i umiejętności w trudnych warunkach. Oznacza to, że w wielu środowiskach, w sposobie myślenia i działania nie dokonano po X Zjeździe zasadniczego przeobrażenia. W pierwszym rzędzie musi ono nastąpić w nas samych, w szeregach partyjnych, w naszych instancjach i organizacjach podstawowych. Ich awangardowość i wiarygodność działania w środowisku sprządać się będzie codziennie przez skuteczność w osiągnięciu celów wytyczonych przez X Zjazd...”

Na II plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR sekretarz Małachuk stwierdził w imieniu Egzekutywy: Na każdym szczeblu — wojewódzkim, miejskim, gminnym, zakładowym, produkcyjnym, powinniśmy szukać sposobów aktywnego podejścia w rozwiązy

waniu problemu mieszkaniowego, poprawienia wyżywienia społeczeństwa i zaopatrzenia rynku, unowocześnienia oświaty, polepszenia opieki zdrowotnej, ochrony naturalnego środowiska, dbałości o weteranów walki i pracy, upowszechnienia kultury, zwalczania zła i patologii społecznej. Musi nam stać towarzyszyć świadomość, że od skuteczności rozwiązywania tych spraw zależy w decydującej mierze stan na szczeblu społecznym, stosunek ludzi do pracy, ich aktywność w życiu społecznym i poparcie dla polityki partii.

O nastrojach społecznych w których przychodzi działać, świadczą mogą i takie dane. W bieżącym roku liczba skarg kierowanych do Komitetu Wojewódzkiego PZPR wzrosła o 43 procent. 65 procent wszystkich skarg jest uzasadnionych. Liczba skarg anonimowych wzrosła aż o 85 procent. 30 procent skarg anonimowych, nie podpisanych imieniem i nazwiskiem, było uzasadnionych. Skarżono się przede wszystkim na stosunki międzyludzkie w zakładach pracy, na niedogodności w przedsiębiorstwach, na błędne decyzje podejmowane przez kierowników, na wykorzystywanie stanowisk służbowych dla własnych korzyści, na pospolite prześlęstwa gospodarcze.

R. ROWIŃSKI

Zaodra

Sprzęt kolejowy na cztery kontynenty

Rzadki, międzynarodowy jubileusz obchodził ostatnio poza granicami swojego kraju przemysł budowy pojazdów kolejowych NRD. Na fachu wystawie „Transport kolejowy — 86” w Szecebinie pod Moskwą został przekazany przez NRD 75-tysięczny wagon kolejowy dla ZSRR, który to kraj jest od czterech dekad najwęższym partnerem w dziedzinie importu wagonów z Niemiec. W skład zestawienia z sobą, dostarczone w tym okresie do Związku Radzieckiego wagony kolejowe, utworzyłyby pociąg o długości 1700 kilometrów.

Podobnie jak ten, „jubileuszowy pociąg” chłodniczy z fabryki w Dessau, eksportowane towary na kołach są głównie produkowane w przedsiębiorstwach podległych Kombinatowi Budowy Pojazdów Szynowych w Berlinie. W 16 tego rodzaju przedsiębiorstwach wytwarzanych jest każdego roku około 1300 wagonów osobowych, wagonów piętrowych, wagonów restauracyjnych i sypialnych oraz 200 wagonów — chłodniczych wagonów specjalnych dla wszystkich stref klimatycznych i szerokości toru. Do tej grupy dystryktu kolejowego z 40 krajów świata na czterech kontynentach sprowadziły z NRD ponad 100 000 wagonów.

„Nasze towary cieszą się uznaniem na skalę światową, ponieważ odpowiadają wymagomom przyszłości” — powiedział dyrektor generalny wspomnianego kombinatu Guenter Gross. Całkowicie nowym wyrobem jest wielkoprzestrzenny wagon osobowy produkowany w fabryce w Buddizynie, który nadaje się szczególnie dla międzynarodowego ruchu ekspresowego. Po przeprowadzeniu prób na linii Berlin-Rostock pierwszy pociąg złożony z tego rodzaju wagonów zostanie wprowadzony do ruchu na trasie Berlin-Praga. W klimatyzowanych wielkoprzestrzennych wagonach przebiega atmosferę podróży niosącej komfortowe wnętrza, sygnalizację, tłumienie hałasu i spokojną pracę zespołów.

Począwszy od roku 1987 ZSRR będzie otrzymywał z NRD tzw. wagony — termosy. Odnajdują się one wysokim poziomem ekonomii transportu, a mając jedynie 30 ton ciężaru własnego mogą wciągnąć do siebie podwojną ilość towarów. Specjalnie dla radzieckich kolei państwowych powstaje obecnie nowa generacja wagonów osobowych, których pierwowzory zostały już wyprodukowane w fabryce wagonów w Ammendorfie. Należy doń pięć zasadniczych typów wagonów 1 i 2 klasy, wagony restauracyjne i wagony — bufety oraz wagony sypialne o zwiększonej długości wynoszącej 27 metrów (normalna długość wynosi 24,5 metra).

W trakcie negocjacji są dostawy w najbliższych latach 1000 wagonów — chłodniczych, które obejmą również transfer technologii i kształcenie chińskich robotników wykwalifikowanych. „Wysokie wymagania stawiane naszymu kombinatowi czynią sprawą niezmierznie pilną na instalowanie wysoko wydajnych linii produkcyjnych dla części podzespołów i osprzętowania, stałe wprowadzanie przedsięwzięć racjonalizatorskich we wszystkich podległych nam przedsiębiorstwach oraz osiąganie wysokich efektów ekonomicznych poprzez zastosowanie mikroelektroniki” — oświadczył Guenter Gross. Celem podniesienia poziomu technicznego produkcji, do roku 1990 trzeba będzie stworzyć kilka automatyzowanych ciągów produkcyjnych oraz uruchomić 420 robotów przemysłowych i 80 komputerów biurowych.

Usługi budowlane na eksport

Niemieckie firmy budowlane wnoszą całe dziesiątki w miejscowości Barda (środkowy Ural, obwód permski). Za wykonanie robot budowlanych jest przedsiębiorstwo z miasta Suhla. Przy ulicy „Gazu Ziarnowego” (I) obok licznych bloków mieszkalnych niemieckie robotnicy budują obiekty socjalne — przedszkola, szkoły, hale targowe („Kaufhalle”), a nawet remizę strażacką.

Gotowe płyty stosowane przez firmę sprowadza się koleją z NRD. Transporty płyt niekiedy się opóźniają. W takich sytuacjach nie ma jednak przeszkód, gdyż prawie wszyscy pracownicy zatrudnieni na budowie potrafią wykonywać kilka czynności: roboty mureckie, ślusarskie, spawalnictwo itp. W miarę potrzeby koncentrują się siły robotnicze tam, gdzie w danym momencie front pracy tego wymaga. Nie ma tam ani możliwości ani konieczności „objawiania się” bez pracy. Robota zawsze się znajduje. Dzięki temu w ostatecznym rozrachunku zadania wykonywane są w terminie.

(Alfa)

Bezpieczeństwo na drogach

Nowy program poprawy bezpieczeństwa w ruchu pojazdów na drogach w NRD przyniósł w ostatnich latach wymierne efekty w postaci mniejszej liczby wypadków. W latach 1981-1985 ogólna liczba wypadków drogowych zmniejszyła się o 5 tys., a wypadków śmiertelnych o 3 tys. Każdego dnia w ostatnim okresie w NRD notuje się jednak przeciętnie 130 wypadków drogowych, w których 4 osoby ponoszą śmierć, a 100 odnosi obrażenia. Obecnie po drogach całego kraju porusza się ponad 5 mln. samochodów, w tym 3,3 mln osobowych, i każdego roku przybywa dalszych 140 tys. pojazdów. Za przekroczenie prędkości lub jazdę po spożyciu alkoholu w NRD stosuje się obecnie wyjątkowo surowe kary — do 1 tys. marek, zakaz prowadzenia pojazdu nawet do 5 lat, a w wyjątkowych przypadkach grozi kara więzienia.

(X)

Mieszkańcy zabytków

Wielu obywateli NRD mieszka w obiektach o wartości zabytkowej. Przykładem może być ponad połowa ludności około 2 tysięcznego miasteczka Obersiebenbrunn w okręgu drezdeńskim, mieszkająca w 280 domach pochodzących z XVII i XVIII wieku i otoczonych obecnie opieką konserwatorską.

W budynkach o wartości historycznej mieszkają również obywatele Schmallkalden, położonego na południowo-zachodnich krańcach republiki, na stokach Lasu Turyńskiego. W tym pochodzącym ze średniowiecza miasteczka objęto ochroną cały kompleks architektoniczny śródmieścia, a także zamek Wilhelmsburg, położony w pobliżu.

Około połowy ludności innej miejscowości, zaliczanej do słynnej atrakcji turystycznych NRD — miasta Quedlinburg w górach Harzu, to również stali mieszkańcy zabytków. Centrum tego ponad 1000-letniego miasteczka położonego w okręgu Halle zabudowane jest zabytkowymi domami z pruskiego muru, w których nadal mieszkają ludzie.

(X)

Znalezisko sprzed 3000 lat

Przy wykonywaniu wykopalisk pod zabudowaniami gospodarskimi pewien rolnik na wsi Flenstedt ciekawego odkrycia. W pewnym momencie, na głębokości 130 cm

znalazł nieuszkodzone ogromne naczynie zawierające 50 przedmiotów wykonanych z brązu.

Pracownicy krajowego muzeum poddali znalezisko badaniom i stwierdzili, że pochodzi z X wieku przed naszą erą, czyli sprzed 3000 lat. W tym miejscu — jak przypuszczają — znajdował się ówczesny warsztat odlewniczy. W nieuszkodzonym stanie zachowały się także przedmioty jak sierpy, topory, ozdoby na uprząż konia a także biżuteria. Obok tego znaleziono liczne odpady oraz przedmioty, które uległy uszkodzeniu w toku produkcji.

Znalezisko zasiliło zasoby muzealne w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a znalazca otrzymał wysokie wynagrodzenie.

(Alfa)

Zalaba

Perspektywy gospodarcze

Jak wynika z ekspertyzy pięciu czołowych zachodniemieckich instytutów gospodarczych, w 1987 r. w RFN utrzyma się korzystna koniunktura. Konsumpcja indywidualna, która utrzymała się już w 1986 r., była decydującą siłą napędową, również w przyszłym roku przyczyni się do wzrostu popytu w całej gospodarce. W raporcie jesiennym opublikowanym w Bonn instytuty prognozują na koniec br. nieco mniejszy wzrost gospodarczy od oczekiwanego, lekki spadek cen, zwiększenie liczby zatrudnionych, oraz mniejsze bezrobocie. Jednakże utrzyma się ono powyżej granicy 2 mln. Na przyszły rok instytuty spodziewają się realnego wzrostu gospodarczego w wysokości 3 proc., wzrostu cen artykułów konsumpcyjnych o 1,5 proc., wzrostu liczby miejsc pracy o 250 000, spadku za rejestrowanych bezrobotnych o prawie 100 000. Przyszły rok będzie jednak — zdaniem instytutów — charakterystyczny dla osłabienia dynamiki gospodarczej. Jako jedną z przyczyn wymienia się pogorszenie sytuacji w eksporcie. Wiosną instytuty prognozowały na 1986 r. 3,5 proc. wzrost gospodarczy, obecnie skorygowano go na 3 proc. Raport stwierdza, że po raz pierwszy w obecnym cyklu dobrej koniunktury, utrzymującej się od pięciu lat, w 1986 r. spadła liczba bezrobotnych. Średnia wyniosła 2,23 mln, i będzie o 74 000 mniejsza niż przed rokiem. Instytuty ostrzegają, że zwiastuje przed wysuwaniem zbyt dużych roszczeń płacowych. Jak wynika z obliczeń, w 1987 r. dochody netto przedsiębiorców z tytułu majątku zwiększą się tylko o 4,5 proc., podczas gdy na rok bieżący przewiduje się plus 13,5 proc. Wzrost płac wyniesie 3 proc.

(X)

RFN czwarta pod względem zgłaszanych patentów

Z rozmowy z szefem zachodniemieckiego Urzędu Patentowego dr Erichem Haeusserem wynika, że w roku ub. zgłoszono do Urzędu 46 000 pomysłów patentowych, z czego wniosków pochodzących z samej RFN, a nie z przekazanych z zagranicy, było 32 000. Jeśli chodzi o pozycję RFN w skali światowej, to zajmują one czwarte miejsce po Japonii (300 000 pomysłów patentowych), ZSRR (170 000), USA (110 000). Za RFN znajdują się Francja i Wielka Brytania.

Żalozne podsumowanie

Takim tytułem jedno z pism w Republice Federalnej opatrzyło sprawozdanie z opublikowanego niedawno w Bonn „Bi

lansu ścigania przestępców narodowo-socjalistycznych”. Stwierdza się w nim, że na wykrytych do 1 stycznia 1986 r. 90 921 przestępców hitlerowskich w RFN skazano prawomocnie tylko 6 479, w tym 12 na śmierć i 160 na dożywocie. Większość z pozostałych 6 307 otrzymała wyroki śmiesznie łagodne, których poza tym z reguły nie musieli odsiadywać. 23 140 oskarżonych w ogóle nie zostało skazanych z „braku dostatecznych dowodów” lub „niezdolności do opowiedzenia historii karnej”, a byli i tacy, którym za morderstwo wymierzono karę — grzywny. Dla porównania, na alianckich procesach przestępców wojennych w Norymberdze Trybunał aliancki skazał 806 zbrodniarzy na karę śmierci. Wykonało 486 wyroków, a 320 osób ułaskawiło w terminie późniejszym. Bońska Temida była więc wyjątkowo opieszała i wyrozumiała dla hitlerowskich przestępców. Centralna Placówka ds. Zbrodni Nazistowskich powołana została w RFN w Ludwigsburgu 1.XII. 1955 r. Do 31 grudnia ub. roku, jak wynika z raportu wszczęła 4954 postępowania wstępne dochodzeniowe, z których 4853 zakończyła i przekazała prokuratorom. 101 postępowań jest jeszcze w toku. Oskarżono ponad 850 obywateli i wielu z nich skazano. W ub. roku Centralna Placówka w Ludwigsburgu wdrożyła 55 nowych dochodzeń w sprawach morderstw hitlerowskich bądź pomocy w ich popełnieniu. Największą część tych dochodzeń, bo aż 42 opiera się na materiałach dostarczonych przez polską Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich. Kierownik placówki w Ludwigsburgu prokurator Streim wyjaśnił, iż nadal jeszcze prowadzony jest pościg za 12 najpoważniej obciążonymi zbrodniarzami, z których co najmniej połowa przebywa w Południowej Ameryce, a przeciętny wiek wszystkich wynosi 75 lat. Jednakże ogólna liczba nie wykrytych zbrodni jest bardzo duża. Przedmiotem wstępnych dochodzeń — stwierdził dalej prokurator Streim — są przeważnie zbrodnie popełnione w Polsce. Przytaczając ich część zostanie przekazana prokuratorom. Zdaniem zachodniemieckiego prawnika wątpliwe jednak jest w obrzynie większości wniesienie aktu oskarżenia, gdyż przestępcy już nie żyją lub są w wieku wykluczającym postępowanie sądowe. Zresztą wskutek upływu czasu co raz trudniej jest jednoznacznie udowodnić winę. Nie uniknie się faktu — twierdził dalej Streim — że władze prokuratorские będą musiały któregoś dnia zawiesić postępowania „z przyczyn biologicznych”. Wówczas placówka w Ludwigsburgu mogłaby stać się miejscem badań oraz dokumentacji współczesnej historii. Bilans 40 lat działalności organów sprawiedliwości RFN obniża fakt kapitulacji wobec zbrodni — oświadczył prof. Kazimierz Kąkol, dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytutu Pamięci Narodowej w Polsce, i to chyba jest właściwa ocena zachodnio-niemieckiego raportu.

(tema)

Nowa stacja TV

Od 40 lat w amerykańskim sektorze w Berlinie Zachodnim działa rozgłośnia radiowa RIAS. Jak poinformowała agencja DPA, wkrótce zostanie uruchomiona również stacja telewizyjna RIAS. Kongres USA przyznał 12 mln dolarów na to przedsięwzięcie. Pieniądże będą do dyspozycji od 1 października przyszłego roku. Według źródeł amerykańskich, te lewizja RIAS osiągnie mniej więcej 3 mln widzów w NRD oraz 2 mln w Berlinie Zachodnim. Kanał telewizyjny RIAS ma być ważnym „żywym symbolem” zobowiązania Stanów Zjednoczonych do zapewnienia wolności Berlinowi, oświadczył dyrektor Amerykańskiej Agencji Informacyjnej (USIA) Charles Z. Wick. Jak poinformował rzecznik biura ministerstwa ds. stosunków wewnętrznych, w budżecie federalnym na 1987 r. zarezerwowano 8 mln marek na wstępne wydatki telewizji RIAS. Po uruchomieniu przedsięwzięcia Bonn zamierza partycypować w kosztach eksploatacji.

Jak wynika z doświadczeń, nie tak nie uodpornia społeczeństwa NRD na mizazę zachołu, jak telewizja zachodnio-niemiecka.

(X)

DŹWIGANIE DUCHA

Chętnie się podzielić z czytelnikami refleksjami z III Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury, który pod koniec października obradował w Poznaniu.

Ruch regionalny stanowi jeden z głównych nurtów naszego życia społeczno-kulturalnego. Nie może być zresztą inaczej, skoro w kraju działa około 900 różnych towarzystw. Niektóre z nich stały się już własne „ambasady” w stolicy, o czym mówiła przedstawicielka warszawskiego Koła Miłośników Ziemi Krosińskiej. Tak więc potwierdza się w naszych czasach zawołanie Eugeniusza Romera: „Nasza robota to dźwiganie ducha przez miłość do ziemi” jak to przypominał podczas obrad prof. Antoni Gładysz z Cieszyna. Ci krosińscy mieszkańcy w stolicy działają na rzecz rodzinnej ziemi z miłością ku niej. Jest to zapewne skrajny przykład społecznej służby dla środowiska. Ale taki charakter nosi działalność wszystkich regionalnych towarzystw kultury.

Mimo tak oczywistego charakteru towarzystw kultury zadawano sobie na poznajskim Kongresie pytanie: czym jest regionalizm, jaki jest jego stosunek do zastanego już dziedzictwa przeszłości, do tradycji regionu? Formulowano tezę, że jest to poczucie związku z tym, co stwarza się własnym wysiłkiem, co każde pokolenie dodaje do dziedzictwa tradycji. Można być Europejczykiem, dobrze się czując w swoim regionie, a nawet wsi — stwierdził doc. Niedzielski.

Mimo iż stowarzyszenia kulturalne są otwarte dla wszystkich, ich wpływ w środowisku robotniczym i wiejskim, a nade wszystko wśród młodzieży są wciąż jeszcze zbyt słabe. Jedynie w Związku Podhalan połowę członków stanowi młodzież. Ale to tylko chlubny wyjątek.

Uczestnicy Kongresu otrzymali wśród innych materiałów także broszurę profesora UAM Krzysztofa Kwaśniewskiego „Regionalizm”. W przedmowie do niej prezes Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego, nadzwyczajny sympatyczny szef gospodarzy Kongresu, Stanisław Słopeń, stwierdza: *Pytanie o sens regionalizmu, jego miejsce w życiu społeczno-kulturalnym Polski obecnie i w przyszłości aktualizuje się ciągle na nowo, w zależności od ogólniejszych uwarunkowań życia społeczno-kulturalnego w ogóle. (...) Osobiscie sądzę, że najważniejsze jest to, co mamy do powiedzenia o regionalizmie nie tylko samym sobie, we własnym gronie, ale — społeczeństwu, współobywatelom. Polakom różnego wieku i zapatrywań, ludziom schyłku XX wieku.*

Sam zaś autor opracowania tak definiuje omawiane pojęcie: *Regionalizm jest zatem ideologia, dla której utrzymanie tożsamości kulturowej jest bardzo ważnym, ale tylko środkiem do celu, którym jest integracja społeczności regionalnej i jej aktywizacja dla sprostanowania wyzwaniom rzuconym przez zmieniające się warunki, w których region musi przystąpić się do własnego rozwoju i do rozwoju całego kraju. W społecznościach regionalnych, tak jak i w całych narodach, potrzebna jest świadomość „dokąd, ale i skąd idziemy”, owa „arka przetrwania” między dawnymi a nowymi laty”, pod warunkiem jednak, że będzie to stanowił rodzaj rozbiegu do skoku w przyszłość...*

Nie więc dziwnego, że tyle uwagi poświęcono kwestii objęcia młodzieży działalnością regionalnych towarzystw kultury. Wszak tylko ona będzie mogła sprostać wyzwaniom przyszłości. Wskazywano na potrzebę partnerskich układów ze szkołą, organizacjami młodzieżowymi, z PTTK, szerzego zaangażowania nauczycieli, wzięcie przez młodzież towarzystw młodych Polaków z regionem i ziemią ojczystą. Poważnym partnerem mogą stać się ognia PRON. Młodzież musi jednak uwierzyć w autentyczność naszej społecznikowskiej pracy — podkreślił prof. Wyrozumski z Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa.

Stawiano istotne pytanie: z czym i z kim wejdziesz w XXI wiek? Czy z odpowiednim dorobkiem kulturalnym i właściwym zapleczem, jakie dla ruchu regionalnego stanowi młodzież. Wydaje się, że recepta jest tylko jedna: z młodzieżą trzeba po prostu pracować. A że można dowodzić inicjatywy poznajskiej, jak np.: „Pro Symfonia” — młodzieżowy ruch muzyczny Państwowej Filharmonii w Poznaniu. Z „Informatora” tego ruchu wynotowałem takie zdanie: *Rangę każdego ruchu kulturalnego wyznaczają nie tylko ludzie, którzy go tworzą, ale przede wszystkim ideały, które mu przysługują. Ideały muszą być konkretne, muszą wiązać się z autorytetami osobowymi o charakterze moralnym.*

Nasz przewodnik po Wielkopolsce, dr Gomolec, przypominał wręcz, że ruch regionalny w Polsce w XIX w. stworzyła właśnie młodzież. Wskazał też na kapitalny problem zagospodarowania wolnych sobót w szkołach, na wiązanie młodzieży z kulturą i sztuką.

Bowiem bohaterowie przemijają, ale dzieła sztuki pozostają i one w sensie artystycznym wychowują kolejne pokolenia, one kształtują ich smak artystyczny.

Osobiscie sądzę, że nie tylko szkoła powinna być sprzymierzeńcem ruchu regionalnego, ale i placówki kultury. Czy nie można organizować w nich studiów wiedzy o regionie? Stąd wniosek, aby do regionalnych towarzystw kultury przyjmować młodzież od 16 roku życia, aby przerwać milczenie o trudnościach ruchu regionalnego w resortach, aby regionalizmowi poświęcić więcej uwagi w środkach masowego przekazu, aby — wreszcie — przedstawiciel towarzystw kultury znalazł się w radzie programowej radia i telewizji. Ta ostatnia nie miała zresztą na Kongresie dobrej prasy. Dyskutowano także sprawę kształcenia kadr dla kultury. Z tej strony otrzymuje ona zbyt słabą pomoc. W ciągu ostatnich 15 lat wykształcono w kraju na kierunku pedagogiki kulturalnej 6,5 tys. specjalistów. Z tego w kulturze pracuje zaledwie 10 proc.

Towarzystwom stawiano zarzuty, że nie mają lokalnych programów pracy z młodzieżą, ale wniosek w sprawie tworzenia rad młodzieżowych uznano za przejaw godnej potępienia w ruchu społecznym instytucjonalizacji. Wydaje mi się, że jest to ocena przesadzona, wiem bowiem z autopsji — jako działacz ZSL — że tam, gdzie przy komitetach Stronnictwa działały komisje młodzieżowe były i pożądanym w tym względzie wyniki. O ile pamiętam, próbowano i u nas powołać Koła Miłośników LTK, zdaje się, że zmarły śmiercią naturalną. Stąd mamy te same kłopoty, co większość towarzystw w kraju. Czy grozi to również całemu ruchowi regionalnemu? Otóż jestem optymistą i uważam, że nie. Regionalizm to ruch wiecznie żywy, nie zabije go nawet czas minimalnych zainteresowań kulturalnych i pogoni za dobrami materialnymi — jaki niestety przeżywamy — tak jak telewizja nie zastąpi nigdy dobrej książki, tak jak nie jest w stanie zastąpić żywego słowa nauczyciela. Wszak o pracy w środowisku robotniczym, wiejskim i młodzieżowym trzeba pomyśleć poważnie, być może, sięgając nawet do struktur strasznych nadwrażliwych widmem instytucjonalizacji. Każdy środek wiódący do celu będzie tutaj przydatny.

Czyżby więc w Poznaniu dyskutowano tylko o młodzieży? Oczywiście nie ale rangę zagadnienia wyznacza — fakt, że kwestia ta przewijała się w toku obrad wszystkich zespołów problemowych. Postulowano nawet wprowadzenie do programów szkolnych elementów wiedzy o regionie. Tylko ilu mamy nauczycieli — regionalistów i do tego jeszcze społeczników? Temat ten powracał więc w toku obrad Kongresu niczym bumerang, narzucał się wręcz niejako sam. Bo też nie ulega kwestii, że ma konkretne odniesienia do rzeczywistości.

Spółeczny ruch kulturalny określono zaszczytnym mianem sumienia narodowego, wskazywano na jego zasługi w walce o polskość poszczególnych regionów, na jego współczesną rolę w walce z rewizjonizmem, na jego zadania w walce o pokój.

Inną sferę zagadnień, o których z troską o przyszłość ruchu mówiono na poznajskim Kongresie, stanowiły prawne i finansowe warunki jego działalności. No cóż, wciąż jeszcze nie brak ludzi, którym się wydaje, że w kulturze — jak w fabryce — można i powinno się „szybko, dużo, i tanio”. Podano przykład, iż jedną ze społecznych instytucji kulturalnych, dysponującą w ciągu roku kwotą 300 tys., obłożono 90-milionowym podatkiem. Nie muszą chyba dodawać, jaka była reakcja sali...

Kulturę trzeba więc traktować na równi z polityką i gospodarką, a fiskus nie może zagrażać ładnemu z obszarów jej działalności. Większe możliwości trzeba także stworzyć ruchowi wydawniczemu. Potrzeby w tym względzie są ogromne, od ich zaspokojenia w dużym stopniu zależać będzie patriotyczne wychowanie społeczeństwa po przez ukazywanie dziedzictwa przeszłości, aktualnej działalności i przyszłościowych inicjatyw ruchu regionalnego.

Poznański Kongres stanie się niewątpliwie kolejnym impulsem w działalności tak przecież zasłużonych dla kultury narodowej naszych towarzystw regionalnych. To one wychowują człowieka i obywatela, działając, aby co raz mniej było wśród nas ludzi „wywłaszczonych z ducha”.

WITOLD PIWOŃSKI

Zielonogórscy widzowie mogą odczuwać pewien niedosyt po przedstawieniach miejscowego profesjonalnego teatru, przedstawieniach kurczowo trzymających się klasyki, znanej już z programów szkolnych i mocno ograniczonej. Na tym tle propozycje Ośrodka Działalności i Twórczości Teatralnej w Zielonej Górze są o wiele ciekawsze, częściej na wyższym poziomie. Spektakle prezentowane przez amatorskie teatry m.in. z Krakowa, Lublina, Zielonej Góry, dostarczają niezapomnianych przeżyć.

W rozmowie na ten temat biorą udział: Maria Dokowicz, instruktor z Wojewódzkiego Domu Kultury w Zielonej Górze, Roman Więckowski, kie-

W Polsce jest tylko jeden teatr

rownik Ośrodka Działalności i Twórczości Teatralnej, zarazem prezes Towarzystwa Kultury Teatralnej, Tomasz Piersiak wiceprezes Towarzystwa, oraz Ryszard Trocer, nauczyciel języka polskiego w VII LO w Zielonej Górze, założyciel szkolnej grupy teatralnej.

Małgorzata Kowalska - Masłowska — Czym dla Państwa jest teatr?

Ryszard Trocer: — Dla mnie teatr zaczął się w czasach, gdy byłem uczniem i zostałem skuszony do wzięcia udziału w szkolnym przedstawieniu „Strip-teasu” Mrożka. To było fascynujące przeżycie.

Teraz, jako nauczyciel, zdaję sobie sprawę, jak ogromną rolę w procesie dydaktycznym odgrywa kształcenie teatralne. Pojmowane oczywiście bardzo szeroko — poprzez ruch amatorski i po przez oglądanie interesujących spektakli, zdolnych dotrzeć do wrażliwości uczniów. To jest bardzo ważne, aby młodzież przygotować do odbioru dzieła teatralnego. Dlatego tak angażuję się w tę sprawę. Poza tym, prywatnie, teatr jest moją osobistą pasją.

Roman Więckowski: — Dla mnie teatr jest czymś, co bardzo daleko wykracza poza słowa. I nie potrafię tego tylko w słowach zawrzeć.

Maria Dokowicz: — Po każdej zorganizowanej imprezie odgrymam się, że to na pewno ostatnia, ale nadal tkwię w tym wszystkim. Myślę, że teatr w moim przypadku jest pewnym sposobem na życie.

M. Kowalska-Masłowska: — Czy prawidłowo są moje obserwacje, iż w ostatnim czasie aktywowano się działania amatorskiego ruchu teatralnego?

T. Piersiak: — Dali się zauważyć pewne imprezy spektakularne. Na przykład kabaret „Gęba” wyjechał do Krakowa, dostał tam nagrodę i wytworzył się wrażenie, iż coś się ruszyło. A przecież jest to tylko jeden kabaret. I być może wiosną dopiero przyjdzie.

R. Więckowski: — Możemy mówić o „widoczności” działań, które ostatnio koncentrują się wokół Wojewódzkiego Domu Kultury. Część imprez jest kontynuacją pracy Ośrodka Działalności i Twórczości Teatralnej, od stycznia funkcjonującego w WDK-u. Jednak sam Ośrodek działa już trzeci rok i chyba wszedł w świadomość naszego miasta.

Jeśli chodzi o ruch amatorski — w Zielonej Górze istnieje dwa teatry nieprofesjonalne, teraz powstał trzeci — szkolny, który powinien pokazać się szerszej widowni. Jak na wojewódzkie miasto — ta liczba jest bardzo mała. Oddzielnym problemem są warunki, w jakich owe teatry pracują. To, co dzieje się w amatorskim ruchu teatralnym, jest raczej prywatną sprawą zaangażowanych w nich ludzi, nawet ich „szaleństw”. Natomiast — małe jest zainteresowanie mecenatów: chodzi o finansowanie i bazę materialną ruchu.

T. Piersiak: — Niestety, instytucje włączają się dopiero w momencie, gdy już coś istnieje, działa i zaczyna być widoczne. Ośrodek uzyskał większe wsparcie dopiero po kilku latach pracy.

R. Więckowski: — To zauważenie nas i materialna czy administracyjna pomoc przynosi ulgę, ale ciągle jeszcze nie pozwala na pełne zrealizowanie naszych zamierzeń. Zatem problem pozostaje nierozwiązany do końca.

T. Piersiak: — Dochodzimy do wniosku, że pracując w zgromadzonym tutaj

gronie i mając odpowiednią ilość pieniędzy, jesteśmy w stanie zrealizować Zieloną Górę imprezami. W tej chwili mamy niewiele, wydaliśmy sumę przeznaczoną na 1986 rok.

R. Więckowski: — Musimy więc na razie odłożyć realizację takich propozycji jak: „Kwartet na czterech aktorów” Schaeffera w wykonaniu Centrum Sztuki z Warszawy, opera „Na bosaka” Gombrowicza w wykonaniu teatru STU. Niestety, oprócz — miejmy nadzieję — przejściowych kłopotów finansowych, trapią nas problemy z pozyskaniem dobrej sali. Ta w WDK-u jest zbyt mała.

M. Dokowicz: — Jest to po prostu jedyna sala w domu kultury.



Krakowski Teatr „Mandala” w spektaklu dla dzieci pt. „Cyrk”. Przedstawienie odbyło się między innymi w Wojewódzkim Domu Kultury w Zielonej Górze i w pasażu „Mrowiska”.

Fot.: BOGDAN PASTYRCZYK

T. Piersiak: — Z konieczności musi być uniwersalna, co bywa bardzo kłopotliwe. Jeżeli w ciągu dwóch dni są dwa przedstawienia, a pomiędzy nimi kurs tańca, to trzeba rozbić dekorację, przenosić krzesła a potem wszystko składać na nowo.

M. Kowalska-Masłowska: — Jednak nie możemy narzekać na brak zainteresowania własnymi propozycjami.

R. Więckowski: — To, co robimy, jest weryfikowane przez frekwencję na przedstawieniach i innych imprezach. Nie było na razie zastrzeżeń do naszych propozycji programowych. Ale chcemy jednocześnie, aby działania miały wymiar kompleksowy. Dlatego upowszechnianie teatru odbywa się na różnych płaszczyznach — od wersji dla młodzieży do wkroczenia w środowisko robotnicze i studenckie.

Poza tym — wszechstronność, o której myślimy, zawiera w sobie kwestię dokumentowania pewnych zjawisk, organizowania stażów instruktorów. Zależy nam na zachowaniu równowagi między instytucjonalnością a swobodą działania: instytucjonalność jest bowiem potrzebna wtedy, gdy w grę wchodzi pieniądze, sprowadzanie i realizacja spektakli; natomiast inne poczynania powinny pozostać bezpośrednie, swobodne, i autentyczne.

R. Trocer: — Bardzo istotną sprawą jest funkcja edukacyjna Ośrodka. Wiem z własnego doświadczenia, iż system wychowania teatralnego w szkole kuleje od bardzo dawna. Nauczyciel nie jest w stanie przekazać pewnej wiedzy i zainteresować twórczością dramatyczną bez bliskiego kontaktu z prawdziwym teatrem. A taki teatr w Zielonej Górze nie istnieje — myślę o teatrze zawodowym, którego nie można przenieść w system edukacyjny ze względu na niską jakość przedstawień. Inaczej, co może brzmieć paradoksalnie, wygląda działalność Ośrodka: większość oglądanych przedstawień trafia do wrażliwości młodzieży.

M. Dokowicz: — W ciągu ostatnich kilku miesięcy próbowaliśmy się zorientować, jak w Polsce wygląda kwestia edukacji teatralnej. Z trzech istniejących Ośrodków, które zawodowo zajmują się sprawą propagowania i nauczania teatru, gościliśmy kolegów z Łodzi i Gdańska. Nie widzieliśmy jeszcze propozycji poznajskich. Okazało się, że z niewielu obcych inicjatyw możemy skorzystać. Chcemy więc przejąć to, co zostało już w Gdańsku i Łodzi sprawdzone. Ale przede wszystkim musimy wypracować własne metody.

T. Piersiak: — Instytucje zajmujące się edukacją teatralną młodzieży zamykają swe działania w ramach programu nauczania, organizując je w formie zajęć obowiązkowych. Natomiast proponowana przez nas metoda pracy pozostaje program o całą sferę zajęć fakultaty-

tywnych, opierających się na młodzieży, która chce zajmować się teatrem w najrozmaitszy sposób. Możemy tu wykorzystywać każdą jej inicjatywę, także wprowadzać formy istniejące w ruchu amatorskim. Zakładamy, że jeżeli te dwa nurty — istniejący i proponowany — w pewnym momencie spotkają się, cały program będzie bardziej autentyczny i wartościowy. Na przykładzie szkół zainteresowanych teatralną formą edukacji — LO nr 7, Liceum Ekonomicznego, Lotniczego i Plastycznego w Zielonej Górze, widać, że ta droga wygląda obiecująco.

M. Dokowicz: — Na przedstawione problemy musimy spojrzeć też z drugiej strony — nie placówek miejscowych, zielonogórskich, ale z terenu województwa, gdzie pracuje tylko czterech etatowych instruktorów. Bardzo trudno nowo wypracowane modele przenieść do innych ośrodków. Do dziś, na zasadzie systematycznego kontaktu, udało nam się tego dokonać jedynie w środowisku żarskim.

M. Kowalska-Masłowska: — Wspaniale możliwości ma przecież Zagań...

M. Dokowicz: — Teatr wiąże się z ożwieniem, który go robi. Jeśli traktuje on swą pracę jako wypełnianie obowiązków, wtedy nie nie wychodzi.

M. Kowalska-Masłowska: — Czy sam przymiotnik „amatorski” nie pełni w wielu przypadkach roli straszaka zniechęcającego do obejrzenia spektaklu?

R. Więckowski: — Nie istnieje opozycja między teatrem amatorskim a profesjonalnym. Uważam, że w Polsce jest jeden teatr i jedno życie teatralne. Po działaniu niczego dobrego nie służy.

M. Kowalska-Masłowska: — Czy istnieją jakieś formy współpracy z Lubuskim Teatrem im. L. Kruczkowskiego?

R. Więckowski: — Próbowaliśmy rozmawiać z poprzednim dyrektorem, H. Kurpanikiem, ale nie był on zbyt zainteresowany i wszystko zakończyło się kilkoma pustymi deklaracjami. Spotkaliśmy się już z nową dyрекcją i — być może — owo spotkanie zaowocuje konkretną współpracą. Myślę, że jest to konieczne: niepotrzebne są przedziały w mieście, które ma jeden teatr.

T. Piersiak: — I żadnej innej dużej sali, odpowiedniej do przedstawień. Ta sprawa powraca jak bumerang.

R. Więckowski: — Mamy w Polsce przykłady ciekawej współpracy teatrów zawodowych z amatorskim ruchem teatralnym.

M. Kowalska-Masłowska: — W Zielonej Górze byłoby to pożądanym, bowiem zbyt duży jest rozmiar między repertuarem proponowanym przez profesjonalistów, a tym, co można zobaczyć w WDK-u.

R. Więckowski: — Nie wszystko jednak zależy od nas. Nie mając odpowiedniej bazy, nie możemy właściwie uprawiać teatru, recytacji, itd. Wiąże się z tym również problem prowadzenia warsztatów, dokształcania instruktorów, impresariatu. Chcielibyśmy jednocześnie zastrzec, iż przekazujemy jedynie część obchodzących nas spraw.

M. Kowalska - Masłowska: — Jakże są najbliższe plany pracy Ośrodka?

R. Trocer: — Reakcja młodzieży na oglądanie przez nią spektakle teatru studenckiego oraz moje własne i wcześniejsze kontakty z teatrem alternatywnym, pozwalają ułożyć pewien konkretny plan. Po pierwsze — nieodzowna jest edukacja teatralna prowadzona wśród młodzieży, wyszukanie takich metod nauczania, które pozwoliłyby po szerzej i wzbogacić wiedzę i zainteresowanie teatrem. Po drugie — istotne jest stworzenie takich warunków, aby młody człowiek wylamał się z przyjętego modelu kultury konsumpcyjnej. Mielimy w Polsce wiele przykładów i prób budowania owej kultury alternatywnej, czynnej, opartej przede wszystkim na współuczestnictwie widza w działaniach teatralnych i parateatralnych. Wiele z nich przyniosło wspaniałe rezultaty. Oczywiście, nie da się tego zmniejszyć (a chodzi o takie wartości jak poszerzenie wrażliwości, odbudowa więzi społecznych, nowe formy zachowań, ekspresji), ale wszystko to można osiągnąć. Problemem jest tylko dobrać organizację i dobrą wolę tych, którzy czują chęć wyjścia z trudnej sytuacji, martwoży dnia codziennego. Ważne jest, aby wokół Ośrodka skupiło się jak najwięcej ludzi, którym te sprawy są nieobojętne.

T. Piersiak: — Zajmując się gromadzeniem dokumentacji teatralnej, w której skład wchodzi m.in. nagrania, wideo, opisy spektakli, fotografie. Chcemy na bieżąco rejestrować najciekawsze do konania teatru alternatywnego. W miarę możliwości będziemy w Ośrodku tworzyć podstawy do proponowanego programu edukacji teatralnej młodzieży, gromadzić materiały dostępne nauczycielom i uczniom, wartościowe merytorycznie i formalnie.

R. Więckowski: — W swej pracy za miaręmy rozbudzać ciekawość, zainteresowanie teatrem, poszerzać krag nie tylko odbiorców, ale i współtwórców kultury.

Mamy już zgodę na wydzierżawienie pomieszczenia doskonale nadającego się na salę widowiskową. Potrzebne są jeszcze środki na remont owej sali (całość może zostać wykonana w ciągu kilku miesięcy). Pozostałe otwarte problemy dotyczą działalności Ośrodka, dotacji do tej pory za małe.

M. Kowalska-Masłowska: — Dziękuję za rozmowę.

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

podniesiono ceny węgla, koks, artykułów chemicznych (z wyjątkiem nawozów sztucznych), papieru i piwa. Omówione posunięcia nie spowodowały jednak większych zmian w sytuacji gospodarczej Polski.

Podaż produktów rolnych na wolnym rynku była niewystarczająca. Ograniczono ją wyczerpywanie się zapasów zboża w okresie przednowkowym, obawa rolników o przyszłe zbiory oraz niechęć pozbywania się zboża za „marne” pieniądze. Braki towarowe i narastająca od wiosny 1947 r. emisja pieniądza spowodowały znaczny wzrost cen wolnorynkowych. Poza omówionym wyżej czynnikami ekonomicznymi, wzrost cen przyspieszyła działalność spekulantów oraz panika na rynku spowodowana plotkami o mającej nastąpić drastycznej podwyżce cen i wymianie pieniędzy.

Z dziejów Polski Ludowej

BITWA O HANDEL

Równocześnie na rynku ujawniły się poważne kapitały tkwiące w rękach bogatego chłopstwa i kupiectwa. Wolna siła nabywcza mimo polityki drenażowej, w obliczu trudności gospodarczych oraz pod wpływem powszechnej psychozy wykupu powodowała poważne zakłócenia rynkowe.

Sprawy reformy rynku wewnętrznej i likwidacji spekulacji stały się głównymi hasłami PPR podczas obchodów święta 1-maja 1947 r. H. Minc przemawiając w Katowicach powiedział: „Wyrzuciliśmy bitwę o produkcję, postaramy się wygrać bitwę o handel”. Równocześnie posłowie pepeerowskiej wadzili akcję na terenie komisji sejmowych, domagając się zdecydowanej walki ze spekulacją, usunięcia zbędnych ogniw pośrednictwa oraz kontroli kształtowania się marż i cen. Wzmogła się także akcja prasy pepeerowskiej, skierowana przeciwko handlowi prywatnemu i spółdzielczemu. PPR-owski program „bitwy o handel” odrzucał tezę, że przyczyną rosnących cen na rynku była nadmierna emisja pieniądza i brak towarów. Źródłem zakłóceń gospodarczych upatrywał w trzech grupach zjawisk:

— nadmiernej sile nabywczej warstw drobnomieszczańskich, uzyskanej z różnicy cen, wahań koniunktury i szabru z Ziemi Odzyskanych;

— nadmiernej sile nabywczej wsi, zwłaszcza bogatego chłopstwa, osiągnącej zbyt wysokie zyski ze sprzedaży produktów rolnych, nieoddawania świadczeń rzeczowych i niepłacenia podatków;

— bałaganie, dezorganizacji, anarchii, zdziżeniu i demoralizacji panującej w handlu.

PPR program uzasadnienia sytuacji w handlu wiązała z koniecznością zamrożenia cen na artykuły powszechnego spożycia, wytwarzane w sektorze społecznym. Spółdzielczość została zobowiązana do zaopatrzenia ludności miejskiej w tanie artykuły żywnościowe, a wsi w wyroby przemysłowe. Wychodząc z założenia, że wieś posiada znaczne nadwyżki zboża wysunięto koncepcję powołania państwowej instytucji, wyposażonej w odpowiedni sprzęt finansowy do zakupu zboża w ramach transakcji wiązanych (za zboże towary przemysłowe).

PPS krytycznie oceniła pepeerowską koncepcję „bitwy o handel”. Przyczyn istniejących trudności, socjaliści upatrywali głównie w deficytowości państwowego przemysłu oraz niewłaściwego ustalania cen zbytu. Wskazywano na niską wydajność pracy oraz nadmierną emisję pieniądza. Zdaniem PPS przezwyciężenie trudności mogło nastąpić w wyniku doprowadzenia do pełnej rentowności przedsiębiorstw, oparcia ich działalności o rachunek ekonomiczny, zatrudnieniu na wyższych stanowiskach „lojalnych specjalistów”, przekazanie spółdzielczości, względnie reprivatyzację zakładów przynoszących straty. Z posunięć o charakterze politycznym PPS postulowała „kompletną jawność gospodarki publicznej”, przerwanie akcji regulowania cen do czasu „urealnienia” przemysłu, wstrzymanie importu towarów luksusowych oraz wzmocnienie walki ze spekulacją i szkodnictwem gospodarczym.

Duże znaczenie dla likwidacji dotkliwego deficytu żywnościowego miała pomoc Związku Radzieckiego. W 1947 r. Polska zakupiła 248 tys. ton radzieckiego zboża.

Spożycie niektórych artykułów konsumpcyjnych w kg na jednego mieszkańca w latach 1947–1948:

Artykuły	1947	1948
Papier	7,7	8,6
Tkaniny wełniane	0,7	0,8
Tkaniny bawełniane	1,8	2,0
Skóry twarde	0,2	0,4
Sól jadalna	10,5	11,7
Przetwory zbożowe	113	129
Ziemniaki	218	273
Mięso i ryby	23,1	24,9
Tłuszcze wraz z masłem	6,1	7,2
Mleko i przetwory	127,5	132,5

Źródło: Rocznik statystyczny 1949, s. 102, tab. 19.

szych urzędników państwowych, część z nich sabotowała proces socjalistycznych przeobrażeń w kraju, a także zajmowała się dywersją i szpiegostwem. Przykładem tego była grupa sabotażystów „usadowiona” w dyrekcji Centralnego Przemysłu Węglowego w Katowicach. W latach 1945–1948 wiele zakładów przemysłowych, szkół, szpitali itp. odczuwało ostry deficyt opału. Tymczasem węgiel i koks sprzedawano w dużych ilościach na „czarnym rynku” po cenach niedostępnym dla ludzi pracy. Przestępstwo polegało na tym, że przy sprzedaży opału preferowano sektor prywatny kosztem państwowego, a całkowicie eliminowano spółdzielczość. Prywatni hurtownicy otrzymali nadwyżki na każdej tonie węgla — 15 proc., koks — 10 proc., które sprzedawali po spekulacyjnych cenach, a zyskiem dzielili się z dyrekcją w Katowicach. W ten sposób kupyści osiągnęli miliardowe zyski, a skarb państwa stracił wiele milionów zł. Milionowe nadużycia występowały w portach morskich. Przeladunek towarów powierzono wyłącznie firmom

dykamenty dla celów konkurencyjnych. Ponadto naczelniczy z Ministerstwa Zdrowia zlecił podległym pracownikom zakup lekarstw po wygórowanych cenach u prywatnych firm, podczas gdy takie same leki można było nabyć po znacznie niższych cenach w państwowych placówkach handlowych. W rezultacie przestępcze działalności skarb państwa poniósł straty sięgające 140 mln zł.

Szczególnie niekorzystnym zjawiskiem występującym w dużych zakładach pracy było nieterminowe wypłacanie lub obniżanie poborów robotnikom. Na tym tle dochodziło do strajków, m.in. w fabryce mebli w Słupsku, garbarni skór w Białogardzie, woj. szczecińskie, szczyńskiej stoczni „Gryf”. W tej ostatniej przyczyną ośmiodziennej przerwy w pracy był brak kluczy do biurka, w którym znajdowało się zezwolenie na pobranie pieniędzy z banku. Klucz zabrał ze sobą dyrektor stoczni i wyjechał na plażę do Międzyzdrojów.

Jesienią 1948 r. na ławie oskarżonych zasiadli urzędnicy Państwowych Nieruchomości Ziemskich w Koszalinie za samowolne zredukowanie planu likwidacji odlogów — mimo iż posiadali odpowiedni sprzęt i ludzi oraz za nie wypłacenie robotnikom rolnym wynagrodzenia — mimo posiadania pieniędzy na koncie bankowych.

Działalność sabotażowa wiązała się często ze szpiegostwem. Służby specjalne państw zachodnich interesowały się naszą gospodarką, ze względów wywiadowczych i dywersyjnych. Osoby udzielające im informacji stanowiących tajemnicę państwową i służbową, wcześniej czy później trafiały na ławę oskarżonych.

W tamtych latach źródeł naszych trudności ekonomicznych upatrywano głównie w działalności „wroga klasowego i obcych agentur”. Przyczyny były jednak znacznie głębsze, tkwiły przede wszystkim w zacofaniu gospodarczym Polski, zniszczeniach wojennych, braku wykwalifikowanych kadr, a także poglądach i mentalności społeczeństwa, które przyszło żyć i realizować program socjalistycznych reform. Przeciwnicy polityczni zwanii wówczas „wrogiem klasowym” utrudniali proces przeobrażeń socjalistycznych, ale poprzez rozświecenie plotek o mającym nastąpić wybuchu wojny, czy też sabotowaniu niektórych zarządzeń władz — nie byli w stanie cofnąć biegu historii, mogli co najwyżej dezorganizować chwilowo rynek wewnętrzny poprzez spowodowanie wykupywania towarów sklepowych, ale na dłuższą metę ich działalność skazywała na niepowodzenie.

Władza ludowa z konsekwencją realizowała program reform nakreślonych w Manifestie Lipcowym PKWN. Ze znacznym wyprzedzeniem realizowano plany produkcyjne. W 1948 r. produkcja prze-

mysłu państwowego Ziemi Odzyskanych wyniosła 22 proc. całej wytwórczości przemysłu państwowego w Polsce. Nie udało się w pełni wykorzystać możliwości produkcyjnych rolnictwa. Wyrazem tego był stosunkowo spory udział odlogów w ogólnej powierzchni gruntów rolnych. Gdy w całej Polsce w 1948 r. stanowiły one 6,3 proc., na Ziemiach Odzyskanych sięgały 11 proc.

Należy podkreślić istotną poprawę warunków życia ludności wiejskiej. Wzrost produkcji rolnej oraz stopniowy wzrost cen artykułów rolnych powodowały zwiększanie się dochodów na wsi. Na początku 1949 r. nastąpiła likwidacja systemu kartkowego. Polska była trzecim w Europie krajem po Związku Radzieckim i Szwajcarii, który zniósł system reglamentacji żywności. Regulacja plac spowodowała ich wzrost o 10 proc., tak że w 1949 r. przeciętnie zarobki pracowników najemnych poza rolnictwem osiągnęły 107 proc. poziomu z 1938 r. i 207 proc. poziomu z 1946. Część jednak zatrudnionych znajdowała się w położeniu gorszym niż przed wojną, byli to robotnicy zatrudnieni w zakładach nędzą uprzywilejowanych pod względem materialnym np. przemysł zbrojeniowy, pracownicy umysłowi — zwłaszcza naukowcy. Uwzględnić należy jeszcze jeden czynnik o dużym znaczeniu — likwidację bezrobocia.

Likwidacja sektora prywatnego w handlu, w którym widziano jedną z przyczyn dezorganizujących rynek wewnętrzny, była bardzo podporządkowana założeń doktrynalnym niż pragmatycznym. „Bitwa o handel” przede wszystkim miała zapewnić decydującą rolę na rynku państwu i w mniejszym stopniu spółdzielczości, przy czym PPR akcentowała podstawową rolę państwa, a PPS nadal wiązała się ze spółdzielczością. Aby jednak operację tę przeprowadzić, należało uprzednio przygotować całą infrastrukturę handlu społecznego. Tego jednak nie zrobiono i „bitwa o handel” w początkowym okresie w większym stopniu oznaczała likwidację handlu prywatnego niż tworzenie handlu społecznego. Na niektórych obszarach kraju powstały tzw. pustynie handlowe. Sklepy prywatne ulegały likwidacji, a na ich miejsce nie otwierało się nowych. Wydało się też, że walka o przewagę w handlu powinna być w pierwszym okresie ograniczona do przejęcia kontroli nad hurtem i do rozbudowy uspołecznionej sieci detalicznej jako uzupełnienia sieci sklepów prywatnych. Reforma rolna jak też nacjonalizacja przemysłu oraz walka z nadużyciami gospodarczymi były niezbędne i konieczne. Natomiast próba likwidacji detalicznego handlu prywatnego należała do przedwczesnej.

JAN GOŁEC



Palacz

Człowiek, o którym piszę, ma swoje imię i nazwisko. Ma też bogatą historię, na podstawie której niejednemu zielonogórskiemu kandydatowi na literata mogłoby napisać powieść sensacyjną albo psychologiczną. Owego człowieka, przezwijmy go: Palacz mieszkał w Poznaniu, Wrocławiu, ostatnio w Zielonej Górze, gdzie pracował jako palacz w wojewódzkiej Instytucji. Był zdrowy, silny, obowiązkowy, sumienny, uczciwy, słowem — zaprowadzić takiego na lekcję wychowania obywatelskiego i pokazać uczniom, jaki powinien być Polak. Ale, jak to z takimi ludźmi często bywa — złośliwy diabeł nie weźmie, powiada mój sąsiad — Palacz odczuwał ból to tu, to tam, to przyszedł do kołowni, to całymi dniami leżał na łóżku w swoim mieszkaniu. Choroby nikt nie wybiera, powiada mój sąsiad, z czym chorować się nie tylko ja, lecz i większość pracowników Instytucji Palacza. Komu potrzebny chorowity palacz? Więc obywatel Palacz przeszedł na rentę. Jego miejsce zajął inny palacz, też zdrowy, silny. Kadrowiec Instytucji miał już święty spokój.

Póki żyła stara Palaczowa, nikomu spośród pracowników Instytucji nie przyszło na myśl, by zająć do Palacza. Wiedzieli, że Palacz dostaje rentę, jego matka coś tam ugryzie, jakoś wypierze kałony i koszuła, posprząta, postoi w kolejkach. Czy człowiek niedomagający potrzebuje czegoś więcej? Ma spokojnie chorować, brać rentę i wierzyć, że będzie lepiej.

Palaczowa umiała. Była stara, przeżyła swoje. Sąsiedzi współpracowali z Palaczem, tłumaczyli, że każdemu śmierć sądzona. Żeby nad nami miał kto zaplakać, dodawali. Można tak mówić, gdy się mieszka z dziećmi, wychowuje wnuki. Palacz poczuł się zagubiony w gąszczu kartek na papierosy, alkohol, masło, mięso. Nie rozumiał, nie wiedział, co na co, po co, kiedy. Działył z dnia na dzień, w mgłnieniu oka wyginal się w kablak. Nogi jego były jak z ołowiu, nie one jego, lecz on je musiał nosić. Wdzielił to sąsiedzi, kiedy mogli, jak umieli, pomagali mu. To ktoś przyniósł garnuszek zupy — Zostało mi, zjedzcie, sąsiedzie. Szkoda wylać — ktoś inny stał w kolejce po mięso, pomyślał o Palaczu, kupił i to mięso, i chleb, i masło. Nie raz i nie dwa sąsiedzi namawiali go, by napisał podanie, gdzie trzeba i poprosił o miejsce w domu spokojnej starości — Czyż tam, wypiora, podadzą. Jest z kim porozmawiać. Lekarz na miejscu. Kino, telewizja. O,

przychodzi wieczór wigilijny, czas dzielenia się opłatkiem, a sąsiad jak ten palec, sam, samuiterki.

Palacz odważył się zatelefonować do Prezesa Instytucji, w której tyle lat był palaczem. Powiedział, co i jak, i że prosi o pomoc. Panie z działu kadr Instytucji wychodziły do sklepów, kupowały to, co jest potrzebne chorowemu, niedołężnemu, samotnemu mężczyźnie. Instytucja zamawiała ziemniaki na zimę dla swych pracowników, pomietano o kilkudziesięciu kilogramach dla Palacza. Zima, mrozy, kto mu kupi węgiel? Jego następcy w kołowni ładowali trochę węgla do worka i taszczyli obzemek — Palcie, grzejcie się. Przynieśliśmy jeszcze. Palacz nigdy nie powiedział, że Prezes i Instytucja jest obojętna. Był wdzięczny za wszystko.

Prezes poprosił Palacza, by zebrał wszystkie swoje dokumenty, napisał podanie, to on użyje swoich sił i znajomości i postara się ulokować go w domu spokojnej starości. Wtedy okazało się, że Palacz ma więcej medali niż niejednego generała. że był się pod Lenino, i o Warszawie, i o Kolobrzegu, że swoim pułkiem zaszedł aż za Berlin, dosłużył się stopnia podoficerskiego. Proszę, oto dowody: od Stalina, od Rolli — Zymierskiego, wpisy w legitymacji ZBoWiD. Walczył w obronie władzy ludowej, budował socjalizm za Bierutem w Poznaniu, za Gomułką we Wrocławiu, był obecny w Zielonej Górze, kiedy stawiano przy jego udziale fundamenty drugiej Polski. Człowiek zasług. Prezes był przekonany, że kto jak kto, ale Palacz może spokojnie żyć w Domu Zbawidowca, i to nie na koszt ludowego państwa, a z tej renty, którą dostaje każdego miesiąca. Okazało się, że owszem, tak, ale Dom Zbawidowca nie jest dla ludzi chorobliwych. Prezes poprosił o pomoc ZBoWiD. Obiecywał interwencję. Poszedł do swojej jednostki nadzrodnej. Też obiecywali, w miarę swoich możliwości i sił. Prezes wierzył, a Palacz był przekonany, że jeszcze kilka dni i dostanie wygodne łóżko w słonecznym pokoiku cichego Domu Zbawidowca. Mijały nie dni, nie tygodnie, a miesiące. We wrześniu Palacz poczuł się gorzej, przestał wychodzić ze swojego mieszkania. Kontakt z Prezesem utrzymywał li tylko za pośrednictwem telefonu.

Palacz długo ukrywał, że ma dzieci, żyje matka jego synów. Dlaczego? Na to pytanie nigdy nie odpowiedział. Jak i nigdy nie przyznał się, dlaczego nie chce zamieszkać u któregoś z synów. Nie prosił ich o pomoc. Pomocy oczekiwał ze strony Prezesa. Jemu się skarżył, przed nim płakał. Prezesowi też się przyznał, że swoje mieszkanie przepisał na syna. Co syn zrobi z dwoma pokojami; sprzeda je, wydzierżawi, wynajmie — decyzja należy do młodego. Stary oczekuje pomocy ze strony Prezesa. Należy mu się za to, co zrobił dla Polski Ludowej. Na nic się zdali tłumaczenia, że może syn... domy starców są dla samotnych, opuszczonych... że miejsc za mało, że... Palacz postawił warunek: nigdy nie przeniesie się do domu w Lubsku i powiedział, dlaczego. A więc do syna nie, do Lubsku nie. To dokąd?

Na przykład do Trzebiechowa. Ile Prezes się nachodził, ile nadzwonił, ile naprosił, wie jedynie on. Czy musiał? Nie. Palacz ani nie jest mu bratem, ani swatem, ma rodzinę. A jednak Prezes zrobił więcej niż nakazuje mu urzędniczy obowiązek. Nie tylko wyprosił to miejsce w domu na ostatnie lata życia, ale pomógł, oczywiście nie sam, spakować toboleki Palacza i poprosił kierownika woli, by zawiadził byłego pracownika do domu starców.

Palacz jest tam, gdzie chciał żyć. Prezes powinien być z tego zadowolony, a nie jest. Prezes się zastanawia, co jest w człowieku, że nie umie podołać się ze światem. Ze nie przebacza. Ze do grobowej deski jest zawzięty.

EDWARD NOWAKOWSKI

RFN-owcy czy Francuzi, iż ich przyrost naturalny zaczyna spadać często do zera. Jesteśmy krajem rolniczym i nas, nasza ziemia, żyjemy.

— Czy nie sądzi Pani, że przyrost naturalny w Polsce jest dowodem powrotu do rodziny, jako jednej z wyższych wartości w życiu człowieka?

— Niewątpliwie. Jak obserwuję, w tej chwili dla wielu studentów najcenniejszą wartością jest ich rodzina. Wcześniej się żenią, wcześniej mają dzieci, są bardziej rodzinni. Proszę zobaczyć, jak tatusiowie rozmawiają z dziećmi, jak chodzą z nimi na spacer, noszą „na barana”. Nierzadko ojciec sam wyjeżdża na wczasy z 3-letnim synkiem. Jak on się świetnie nim opiekuje! Jacy z nich kumple! Tego kiedyś nie było. Jest to nowum! Objaw bardzo pozytywny, moim zdaniem.

— Niestety bywają ciężkie nieplanowane. Jak Pani ocenia sprawę antykoncepcji w Polsce?

— Dno! Mówiło się o niej przez 15

— Czego mogą spodziewać się czytelnicy w najbliższym czasie, jeśli chodzi o Pani działalność pisarską?

— Druga część „Sztuki kochania” jest złożona w wydawnictwie „Iskry”. Obecnie opracowuję „Moje sexboje”.

— Tak, w „Sexbojach” jednak najwięcej tych bojów będzie Pani.

— Robię to w miarę możliwości, tzn. tam, gdzie były jakieś znaczące dyskusje społeczne zainicjowane przez innych seksuologów: np. Jaczewskiego, Kozakiewiczą i innych. Umieszczam je równie.

— Druga część: „Sztuka kochania” adresowana jest do ludzi po 35 roku życia.

— „Sztuka kochania” w dwadzieścia lat później — taki jest tytuł II części, na którą składa się: „20 lat wpływów oświaty seksualnej na młodzież, oraz wszystko złe i dobre, co z tego wynikło a dalej po 35 roku życia — macierzyństwo, niepiodność, wpływ różnych schorzeń na seksualizm, starzenie się małżeństw, smuga cienia i, jak mówi Jaczewski: „na taki pomysł, to tylko Wistocka mogła wpaść, żeby zakończyć książkę umiarem w klimacie pogody i uciśnienia”.

piję, nie palę papierosów. Wszystkie rzeczy, które są bardzo drogie, mnie nie interesują. Mam jeden nałóg, drogi, coraz droższy — książki. W związku z tym miewam kłopoty. Czasem kupuję je za pożyczone pieniądze, a z honorariów zwracam. Z moich biezących dochodów na książki nie starcza.

— Na spotkaniach autorskich często pewnie pojawiają się pytania — skąd posiada Pani taką wiedzę o sprawach seksualnych, które poruszane zostają w Pani książkach?

— Każdy przypuszcza, że jestem doświadczoną kurtyzaną, która opisuje własne doświadczenia. Opowiadam, że jak się przez 30 lat przyjmuje pacjentów w poradni seksuologicznej, to się człowiek nasłucha aż mu uszy puchną, a po drugie nie może ślepy pisać o kolorach, no i koniec dyskusji.

— A nie pytają, ilu mężczyzn Pani miała?

— Jednego — i to zupełnie wystarczająco! Na całe życie mi wystarczy!

— Czy Pani obecnie przyjmuje jeszcze pacjentów?

— Nie. Nie mam czasu. Obecnie czas mi starczy tylko na choroby, pisa-

Jesienne tango w Krakowie

Halina Ańska

Listopad w tym roku jest łaskawy, spogląda na królewskie miasto okiem ciepym, roziskrzonym, i łagodnie, jak gdyby tylko dla zabawy, strąca na Plantach ostanie liście. Renesansowe i gotyckie kamieniczki prostują się z przysgarbieniem i wypinają do słońca swoje wypukłości, jak by chciały pokazać, że są jeszcze młode i piękne. Ale promienie, równie dobrułiwe, co bezlitosne, tylko podkreślają, nie siety, że ozdobne mieszczańskie domy na Ryńku i przyległych ulicach, Sukienice, Barbakan i Mariacka Wieża, to oblicza starości i choroby, tak, jak to zdarza się w przypadku człowieka.

Rozpada się ponoć Wzgórze Wawelskie ze światowej klasy zabytkami zamkiem i katedrą, giną twarze posągów, zacierają się maskarony, rozspływają się odpadają po kawałku architektoniczne detale. Ilość dwutlenków azotu i siarki, tlenku węgla, fluoru i innych nieczystości, jakie wydobywają się z kominów hut metalurgicznych im. Lenina i aluminium, zakładów sodowych i Polfy, elektrowni w Skawinie i innych trucielei, oblicza się już na setki tysięcy ton. Wszystko to osiada na zabytkowych budowach i rzeźbach, powodując nieodwracalne straty. Niektórym budynkom jeszcze na dodatek zagraża ruch tramwajowy, wywołujący drgania.

Na oczach całego świata umiera powoli ciężko chora Wenecja, zżerana przez wilgoć, gazy i pyły. Dary i fundacje, jakie zewsząd napływają, są kroplą w morzu, bowiem dla ratowania tego niezwykłego miasta trzeba by wydać już od razu kilkaset miliardów dolarów. Na ile złotych określa się potrzeby ciężko chorego Krakowa?

Choć nie wszystkich, bo np. Konstanty Ildefons Gałczyński mieszkał na Krupniczej i tam prawdopodobnie napisał swoją „Zaczarowaną drożkę”. Mieszkał na Krupniczej także Filipowicz, Otwinowski i inni, o których słyszę teraz, gdy popijam Michałową kawę i oglądam w tej Jamie karykatury mistrza Stopki. Co do drożki, to jeździł ją po Ryńku, jedyny, to zresztą pojad, gdyż ruch kołowy jest tu zamknięty. Kopyta konie klapię, z furkotem uciekają spod nich kołby. Czy jest to drożka zaczarowana? Krakowianie przysięgają, że tak.

Czym mówiło się w krakowskiej kawiarni w ten jesienny, słoneczny dzień, podobny raczej do dnia majowego? O sportowcach i działaczach „Wisły”, obchodzących właśnie 80-lecie. O kotłowni w dzielnicy Żory, przemianowanej na rzeźbiarskie atelier. O mających się wkrótce rozpocząć Krakowskich Dniach Rysarskich. O Ewie Wiśniewskiej w filmie Ryszarda Beera „Cudzoziemka”. O kwartalniku „Kraków” i informatorem „Kra”. O smoku i elektrowni atomowej pod Wawelem.

W byłej Kotłowni powstaje pomnik powstańców warszawskich, który składać się będzie z ponad 20 figur wysokich 3,5 metra, dzieło krakowskich twórców: rzeźbiarza Kuśmę i architekta Budycha. Kraków kocha pomniki, a ponieważ ma ich wiele, jeden chętnie zabuduje dla stolicy. Odstąpienie nastąpi 1 sierpnia 1988 r. w 44 rocznicę Powstania. Skoro o pomnikach mowa, to na placu Matejki wciąż wzbudza zainteresowanie wspaniały rzeźbę Grunwaldu, czarne kołosa, wyciągające ku przechodniom granitowe ręce.

Ponieważ było to nie długo po 1 listopada, mówiło się o kwestie przeprowadzonej na cmentarzu na odbudowę zabytkowych grobowców (jak pociąg podłóża prasa, ubierano ponad 1,2 miliona zł) oraz o zmarłych: nieco zapomnianym, choć do dziś niezastąpionym poecie-satyryku Marianie Załuckim i sędziwym fotografu z ulicy Szewskiej Adamie Karasiu. Marian Załucki lubił sam recytować swe wiersze, a czynił to w sposób bardzo charakterystyczny, przez co był ulubionym wzorem dla parodystów, jeszcze do dziś można czasem usłyszeć podrobiony głos Załuckiego. Zmarł w siłę wieku i rozkwicie twórczości. Pan Karaś przeżył 90 lat także w sposób twórczy i niebanalny. W 1916 r., co mało już ludzi pamięta, założył w Krakowie wytwórnię filmów dokumentalnych, które nazywał „fotoraturami”. Pracował do końca, to znaczy do niedawna, rozciągając wokół siebie niepowtarzalną aurę przeszłości i umilając klientom czas muzyką z gramofonu.

U nas potrafią się kochać

lat, a potem w ciągu pół roku wszystko zlikwidowano, ponieważ nadszedł niż demograficzny. Teraz znowu mamy wyż, wobec tego zaczynamy od nowa, czyli robota głupiego. Jeżeli chodzi o wyż i niż, to są to cykle biologiczne. Obecny wyż jest na „rozum” niczym nie uzasadniony. Pomimo trudnych warunków materialnych, niesprzyjających utrzymaniu i wychowaniu dzieci, nagle wszyscy zaczynają się rozmnażać. Pacjentki, które namawiałam ponad 15 lat, żeby urodziły drugie dziecko, mówiły, że nigdy w życiu na nie się nie zdecydowały. Teraz mając 42 lata rodzą kolejne dzieci. Są to procesy biologiczne nie mające nic wspólnego z propagandą za czy przeciw. Według roczników statystycznych w Polsce tylko 2,5 proc. kobiet stosuje środki antykoncepcyjne. Zlikwidowano poradnie, które były wyposażone w odpowiednie środki, w których pracowali przygotowani do tego ludzie, a w tej chwili są one bardzo potrzebne. Żeby je odtworzyć trzeba następnych 15 lat, tylko że wtedy będzie kolejny niż — i będziemy je znowu likwidować. Tak można bawić się na okrągło!

— Jak Pani spozstrzega taki problem: małe mieszkanie — młode małżeństwo + teścinowie, dzieci, a co z seksem?

— Jeżeli młodzi muszą mieszkać z rodzicami to trudno, lecz w momencie kiedy zaczyna się własne życie, trzeba je budować na swój własny sposób, nawet w kłitce 2 m x 2 m. Pierwsze mieszkanie z łazienką i kuchnią otrzymałam, gdy moje dzieci miały 12 lat. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to bardzo przeszkadzało w miłości i życiu rodzinnym. Dzieciom opieka dziadków także zwykle nie szkodzi. Małżonkowie zaś muszą w każdych warunkach próbować stworzyć własną, nową rodzinę.

— Po przejrzeniu maszynopisu sądzę, że ktoś, kto będzie szukał taniej sensacji w tej książce, może się zawieść.

— Tak samo, jak nie znalazł tego w pierwszym tomie. Przecież już z pierwszego tomu można wywnioskować, jakie są moje książki, że nie jest to „porno-szwejszczyk”.

— Jeśli przegląda się książki biblioteczne, to strony poświęcone technikom seksualnym są najbardziej zniszczone.

— Zależy to od smaku i wykształcenia. W drugim tomie również znajdujemy wiele rodzynek seksualnych. Nie ma obawy, nie będę pisać książki seksuologicznej tylko pod kątem światopoglądowym i wychowawczym. Zawsze tam jest dużo spraw seksualnych.

— Jak to jest z orgazmem u kobiet, bo po lekturze Pani książki wiele kobiet nie odczuwających dotąd satysfakcji seksualnej zaczęło o nią walczyć.

— Warto przeczytać drugi rozdział II tomu „Sztuki kochania” pod tytułem „Walka o orgazm”. Jest na ten temat prawie 80 stron.

— Czyli była walka o orgazm?

— No, oczywiście. W momencie kiedy kobiety stwierdziły, że oziębiło to wada, wtedy wszystkie zaczęły walczyć o gorące sexy, a potem okazało się, że te wojny, jak większość wojen, prowadzą na manowce. Ciągłe powtarzam, że w każdej dziedzinie postęp jest jak wahadło, odchylające się maksymalnie w lewo, potem w prawo, aż wreszcie się wyrówna i posuniemy się o krok do przodu.

— Pani doktor, w świadomości społeczeństwa funkcjonuje Pani jako jednostka aktywna, twórcza, nieprzeciętna. A w życiu codziennym?

— Tak, porównując się z wysokim statusem niektórych naszych obywateli nie mam pięciopokojowego mieszkania,

nie i na nic więcej. Czasem mi się uda zobaczyć kawałek świata, albo wyskoczyć do kina czy teatru. No i dla dzieci, i wnuków trzeba wykraść nieco czasu.

— Jak mi, Polacy w Pani oczach funkcjonujemy na tle Europy czy świata, jeżeli idzie o kulturę seksualną?

— To zależy z jakiej strony się patrzy. Inaczej to wygląda z naszego punktu widzenia, a oni mogą mieć inne zdanie. Wydaje mi się, że funkcjonują jak tresowane pieski, natomiast mi jesteśmy artyści. I nie dziwnego, że jak nasi chłopcy pojechali do Anglii (np. dywizjon 303 i inne), to połowa została, bo Angielki trzymały ich w objęciach i puścić nie chciały. Polacy potrafią kochać — umieli... w każdym razie. Teraz po moich książkach może... mam nadzieję, z powrotem wrócą na dawne ścieżki ciekawej miłości. W innych krajach wszystko wytrenowane seksualnie a kochać się nie potrafią. Zimno to wszystko i nieprzytulne jak widać choćby w filmach i telewizji.

— A u nas goło ale wesoło?

— A u nas to się po prostu potrafi kochać. Tam albo zabawa, albo wyliczanka, albo utrzymanki, albo inne dziwactwo. Ja bym się nie zamieniła ani na kraj, ani na obywatel.

— Czy udało się Pani zrealizować w życiu wszystkie zamierzenia?

— O nie! Musiałam zrezygnować z wielu rzeczy, cała seksuologia jest „zamiast”. Moim największym marzeniem była praca naukową w laboratorium, podejrzałam, że wiele bym zdziałała, bo to, co robiłam przez pierwsze lata, zanim opuściłam klinikę, zresztą z własnej woli, rokowało najlepiej. Profesor był bardzo oburzony, że odeszłam. Szykowały się awanse i tytuły a być może i odkrycia naukowe, bo miałam takie koncepcje, które znacznie wybiegały, jak się później okazało, do przodu. Odeszłam ze względu na dzieci. W pewnym momencie trzeba wybrać. Jeśli się dzieci na świat sprowadziło, to trzeba je wychować.

— Myślę, że Pani odczuwa z tego powodu satysfakcję.

— Mój były ordynator powiedział kiedyś, słaba kobieta — sześciu chłopów by na to umarło, co ty przeżyłaś: reanimacje, operacje itp. Przeżyłam dlatego, że jestem twarda. Jeśli się w życiu ma jakąś wielką namietność i ta wielka namietność się zawała a człowiek wyliczy z toru i zostanie obok, to... Ja prawie życiem zapłaciłam, byłam tak straszliwie załamana, gdy wypadłam ze swojej pracy naukowej, że po prostu wystarczył ropień okolicy, aby nastąpiło ogólne zakażenie krwi i zapalenie mięśnia sercowego. O włos się nie przejechałam. Było to ciężkie przeżycie, ale takie właśnie katastrofy robią człowieka twardym i odpornym na wszelkie „niespodzianki” szkodliwe przez życie. Muszę przyznać, że bardzo wiele mi pomogli ludzie. Miałam wielu przyjaciół, którzy mnie wspierali w ciężkich okolicznościach. Nie wolno spisywać życia na straty i płakać aż do śmierci dlatego, że nie wyszło to, czego człowiek najbardziej pragnął. Ustala się następny program i jedzie dalej. Podobnie było z antykoncepcją. Kiedy rozwalono mi całą antykoncepcję po 15 latach pracy, przeszedłam do pracowni cytohormonalnej. Jedno życie się tylko ma. Drugi raz bym nie chciała żyć, tyle tylko powiem. Uważam, że dobijam do portu i z przyjemnością odpocznę. Doc. Jaczewski dziwi się, że piszę o śmierci jak o pogodnym odpoczynku. Bo ja to tak odczuwam. Gdy człowiek zmęczy się przez całe życie i ciężko napracuje, to tak jak chłop po żniwach wieczorem kładzie się i fajnie śpi.

— Dziękując Pani Doktor bardzo serdecznie z rozmową, życzymy dużo, dużo zdrowia.

— To już siła wyższa. Jak wypadnie, tak będzie.

Obliczyć byłoby trudno, zwłaszcza, że z roku na rok drożeją materiały, czas i ludzka praca oraz powiększa się zakres szkół. Ponadto ratowanie Krakowa, podobnie jak Wenecji, to nie tylko remonty i odnawianie, lecz także kosztowne zmiany urbanistyczne, przebudowa układów komunikacyjnych (mówi się o metrze) oraz generalna modernizacja fabryk i hut emitujących pyły i spaliny. „Są w Krakowie różne cuda, jest zabytkiem każda buda” — mówi piosenka. Kraków posiada ponad 6 tysięcy obiektów zabytkowych, z których prawdopodobnie co najmniej połowa wymaga ratunku w trybie szybkim.

Opracowyani i będący już w początkowym stadium realizacji 10-letni program renowacji Krakowa, oceniany jest ogólnie jako recepta doskonała. Ale skąd wziąć na to pieniądze, wszak nie mamy ich zbyt wiele? Otóż większość tych przedsięwzięć realizowana będzie w ramach planów społeczno-gospodarczych na poszczególne lata. Ponadto na powstały przed paru laty społeczny fundusz wciąż płyną dotacje i składki, w złotych, dolarach i rublach. Przykład: przed paroma dniami student wręczył prezydentowi miasta milion zł, zebrany podczas ogólnopolskiej akcji „Kraków”. Obywatelski komitet nie ustaje w staraniach, a wiadomo, że ziarno do ziarna, cent do centa...

Tymczasem życie w Krakowie płynie błyskawicznie, niezmierzona woda w Wiśle, która, nawiasem mówiąc, też wymaga recepty i zdrowotnych zabiegów. Widać, że coś się robi, gdzie spojrzeć, tam rusztowania, także wokół pomnika Adama Mickiewicza, u którego stóp mimo to nie brakuje świeżych kwiatów. Otaczające go alegoryczne postacie już polyskują, odnowione i odświeżone, bez śladów po gołębicach, które panoszą się na Ryńku i nie mają szacunku nawet dla wieszaka.

W Sukienicach ruch, sklepiki, butiki, łaski i gliniane ptaśki, krakowskie gorsety i pamiętinki z plastiku. W księgarni muzycznej stos nowości, z położoną na szczytach niewielką książeczką autora Strzeżewskiego, „Elvis”. Na straganach kwiaty, a obok owoców rodzimych, pomarańcze, cytryny i banany po cenach, przypominających o zawrót głowy. Są nawet owoce kiwi po 400 zł sztuka.

Pod murem na Piłkarskiej marchandzi, artyści, cyganeria prawdziwa, a może tylko w przebraniu, sprzedają dzieła pedzi i obłoków. Dziewczyna biała z jedną piersią gołą, 26 tysięcy. Dziewczyna czarna z oboma piersiami nagimi, 34 tysiące. Płótna w stylu Utrilla, z uliczką, zaułkiem, kościółkiem i małym smuteczkiem, od 15 do 30 tysięcy. Malowidło przedstawiające końskie zady z ogonami, 36 tysięcy. De gustibus...

A na Solskiego dawniej Tomasz, w sklepie Desy, można nabyć całkiem niezłą grafikę za całkiem niewielką sumę 3-6 tysięcy. Poza tym można wejść do środka z psem.

W Jamie Michałowa kabaret, prowadzony od 26 lat głównie przez Tadeusza Kwiatkowskiego (jego nazwisko jako współautora programów widnieje nieustannie przez te wszystkie lata), autora książek „Siem dem zacych grzechów głównych”, „Dyskretny urok niepamięci” i innych, także scenariuszy filmowych „Rekopis znaleziony w Saragossie” i „Janosik”. Aktualny program kabaretu zatytułowany jest „A to ci wesele”. W hotelu „Pod Różą” inny kabaret daje program pt. „Boya wi-na”. To na Floriańskiej, zaś na Starym Ryńku w domu kultury „Pod Baranami” recital Krzysztofa Litwina, ostatniego już chyba, poza Piotrem Skrzyneckim, ze starej wiary kabaretu „Piwnica”, jeszcze z Krystyną Zachwatowicz, Wiesławem Dymnym, Mirkiem Obłóskim, Zygmuntem Koniecznym, Ewą Demarczyk...

W Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” spotkać można Ludwika Jerzego Kerna, a gdy dopisze szczęście, nawet samego redaktora naczelnego „Przekroju” Mieczysława Czumę, któremu przed kilkoma dniami śpiewano „sto lat” w 50-te urodziny. Rządzie Władysława Machajka, gdyż jak twierdzą niektórzy, szef „Zycia Literackiego” niechętnie opuszcza swoje obserwatorium, znajdując się może na Wiśnie, a może na facyjce pewnego domu na wzgórzu, zamieszkiwanym ongiś przez Muzy i ich podopiecznych.

Ze wspomnień o zmarłych, moje towarzystwo przeszło do wspomnień o żyjących, ale w pewnym stopniu passe, jak pewien sekretarz, który do Krakowa przybył przed laty z Tarnowa, by potem przebiec do Zielonej Góry oraz pewien dziennikarz ze Złotym Mikrofonem czyli czymś w rodzaju radiowego Oscara, który teraz zaszył się gdzieś, na wszystkich i wszystkich obrazach. Przez chwilę parę wspomniano również nie tętniącą dziś firmę zwaną WAGiem, czyli Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, szefa tej firmy Jana Skarbowskiego i stare, dobre czasy w kacie jego gabinetu za szafą, jako że stare czasy zawsze wydają się dobre, ponieważ wtedy było się młodym.

Mówiono też, bo jakżeby nie mówić, o tzw. chodach, jakie Kraków ma, bądź mieć będzie w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, gdzie zasiada nowy minister kultury prof. Aleksander Krawczuk, jak wiadomo krakowianin z krwi i kości.

Kojarzy się Kraków z osobą Krzysztofa Pendereckiego, kompozytora światowej sławy, przed którym wszystkie drzwi stoją otworem, podczas gdy on swoim miejscem na ziemi, wybrał to miasto. Miło jest pomyśleć, że wysoko ceniona w Krakowie pani dyrektor Teatru Muzycznego Ewa Michnik, była przez krótki czas zielonogórzanką...

Kojarzy się wreszcie Kraków z rozspianą Krowodrzą „u Gyzmiska”, w nieśmiertelnym „Romansie” z wodevilu. „Spacerkiem w Basztową ulicę, na Planie wyśię lek i strach, bo jedyną krakowską dziewczę andrusy napadli i — achi!” — mówi jedna z piosenek. „Andrusy” chadzały po krakowskich ulicach jeszcze niedawno, była to kapela podwórkowa Aleksandra Kobylńskiego, którego podobno sam poeta Harasymowicz nazwał imieniem „Makino”. Od pewnego czasu zniknęła z krakowskich ulic trubadur Makino ze swoją gitarą i ze swoją ferajną, podobno poszli wszyscy do Estrady. Gdzieś się podziła także „Szmelcpaka”, która jeszcze parę lat temu śpiewała pod Wawelem piosenkę przywiezioną z Winobranii: „Wiwat Zielona Góra, wiwat zielony gród, tu wszyscy raz do roku piją wino i miód...”

Za to na Floriańskiej, pod sklepem niezbyt z powodu remontu, rozdzielili się Cyganie i grali, ach jak grali, stare tango, do których sam się przyklejał przymiotnik „upojne” — „Milonia”, „Capri”, „Chryzantemy”, „Dulcinea”, „Tangolita”, „Jalousie”, „La Paloma”, „Kryminal tango”, „Graj piękny Cyganie”... Łkały skrzypce, szlochały struny gitar i w tym sentymentalnym nastroju zęgałam się z Krakowem o zmierzchu, a potem długim miałam pod powiekami obraz Ryńku i Barbakanu w mglistej, wieczornej poświacie.

Co takiego jest w tym mieście, że wzrusza, każe tęsknić i powracać? Otóż to, że Kraków, z jego monumentalną przeszłością, smutną teraźniejszością i nadzieją na przyszłość, po prostu się kocha...

ANTONIEGO
Rysunek z książki „Małe światowa
CHODOROWSKIEGO”



— W plebiscycie 40-lecia „Sztuka kochania” znalazła się wśród najbardziej poczytnych książek w Polsce, jedyna z dziedziny seksuologii. Czy była Pani zaskoczona wynikami plebiscytu?

— Trudno być zaskoczonym, jeśli wszyscy pytają, gdzie można kupić tę książkę. Od razu widać, że jej stale brak, a ludzie szukają...

— Video, filmy porno na spotkaniach towarzyskich — co Pani o tym sądzi?

— Byłam raz na takim pokazie, ale zdrzemnęłam się w połowie... i było dużo śmiechu. Istniały pewne projekty zrobienia video ze „Sztuki kochania”. Nie wiem, czy to dojdzie do skutku. Powinnyśmy stworzyć własne, wartościowe artystyczne erotyki, a nie kupować zagraniczne porno, nudne, związane zwykle ze zboceniami i patologią seksualną.

futra, balowych toalet, biżuterii, samochodu, wszystkich tych ekwiwalentów, które są miernikiem powodzenia życiowego. Jeżeli dostaje honorarium, to wydaje jej się natchnioną na książki, wyjazdy do miejsc, które interesują, mnie pod względem kulturowym np. Grecja, Kreta itp. Żyje z 12 tysięcy, czasami dokładam, pożyczam, gdy mi zabraknie. Teraz otrzymuję aż 14.300.

— ...czyli budżet uzupełniła Pani pisaniami książek.

— To jest także bardzo nieregularne dorabianie. Niech Pan zwróci uwagę, że ja swoje książki starannie dopracowuję, wskutek czego wychodzą w odstępach od 5-ciu do 10 lat. Jestem kobietą o bardzo małych wymaganiach. Gdybym nie musiała się ubierać, to emerytura starczyłaby mi na życie. Żyję bez nałogów, kawy, wódki, nie

— W plebiscycie 40-lecia „Sztuka kochania” znalazła się wśród najbardziej poczytnych książek w Polsce, jedyna z dziedziny seksuologii. Czy była Pani zaskoczona wynikami plebiscytu?

— Trudno być zaskoczonym, jeśli wszyscy pytają, gdzie można kupić tę książkę. Od razu widać, że jej stale brak, a ludzie szukają...

— Video, filmy porno na spotkaniach towarzyskich — co Pani o tym sądzi?

— Byłam raz na takim pokazie, ale zdrzemnęłam się w połowie... i było dużo śmiechu. Istniały pewne projekty zrobienia video ze „Sztuki kochania”. Nie wiem, czy to dojdzie do skutku. Powinnyśmy stworzyć własne, wartościowe artystyczne erotyki, a nie kupować zagraniczne porno, nudne, związane zwykle ze zboceniami i patologią seksualną.

— W plebiscycie 40-lecia „Sztuka kochania” znalazła się wśród najbardziej poczytnych książek w Polsce, jedyna z dziedziny seksuologii. Czy była Pani zaskoczona wynikami plebiscytu?

— Trudno być zaskoczonym, jeśli wszyscy pytają, gdzie można kupić tę książkę. Od razu widać, że jej stale brak, a ludzie szukają...

— Video, filmy porno na spotkaniach towarzyskich — co Pani o tym sądzi?

— Byłam raz na takim pokazie, ale zdrzemnęłam się w połowie... i było dużo śmiechu. Istniały pewne projekty zrobienia video ze „Sztuki kochania”. Nie wiem, czy to dojdzie do skutku. Powinnyśmy stworzyć własne, wartościowe artystyczne erotyki, a nie kupować zagraniczne porno, nudne, związane zwykle ze zboceniami i patologią seksualną.

Autor „Polski Piastów”, napisał że wedle opinii historyków wystarczałyby po Kazimierzu Wielkim „jeszcze jedno lub dwa pokolenia rządów piastowskich, a Polska pewnie powróciłaby nad Bałtyk i na Śląsk.” Rzeczywiście wielu historyków w okresie zwłaszcza powojennym, bardziej zaś jeszcze środki masowej edukacji — głosiło pogląd o zmarnowanej w 1410 r. szansie i niepotrzebnym skierowaniu uwagi na wschód kosztem starych piastowskich ziem na zachodzie i północy. I gdyby nie piękna wizja sieniawickiego przełomu XIV i XV wieku w „Krzyżakach” — pewnie młode pokolenie byłoby wychowywane pod przemożnym wpływem tej sugestywnej opinii.

Zresztą miała ona swoje uzasadnienie. Każda akcja przecież powoduje reakcję i tak było w tym przypadku. Przeciwnie fascynacja Rzeczpospolitą Obojga Narodów i dążenie do utrzymania nawet najdalej wysuniętych placówek na wschodzie (dalekie rubieże Białorusi i Ukrainy) sprawiły, że wiele pokoleń zapominało o rdzennej polskiej ludności na Śląsku, o innych oddanych lub trących terytoriach. Wizja Polski Jagiellońskiej unosiła się nad edukacją szkolną okresu międzywojennego i było tu widoczne zbyt wyidealizowane stanowisko; toteż nie dziwnego, że niejedna opinia po roku 1945 również przybrała postać skrajną.

Tymczasem nie możemy przeciwstawiać Jagiellonów Piastom, choć faktem pozostaje, że ci pierwsi przyszlizli z własnym balastem spraw i trudno się dziwić, że byli dziedzicznymi władcami Wielkiego Księstwa Litewskiego, podczas gdy drudzy mieli w tradycji sukcesy militarne Bolesława Chrobrego i jego imienników. Stąd konsekwencja Władysława Łokietka w dziele jednoczenia ziem polskich, a potem dyplomatyczne wysiłki Kazimierza Wielkiego, uwięzione raczej niepowodzeniami i sukcesami połowicznymi. Śląsk za jego czasów ostatecznie został podporządkowany Koronie Czeskiej, choć kaliski z 1343 r. pozwolił odzyskać po jedenaście lat Kujawę i ziemię dobrzyńską. W rękach krzyżackich jednak pozostało — jako „darowizna” — Pomorze Gdańskie.

Sytuacja nie była prosta. Czyhali czeszy, Luksemburgowie, którzy znajdowali sojuszników w książętach Mazowsza, Piastach z bocznej linii, dążących do utrzymania niezależności od Wawelu za cenę związków z dalekimi Hradczanami. Rostała potęga Brandenburczyków, a wewnątrz kraju znaczną siłę reprezentowały rody możnowładcze, gotowe w każdej chwili podnieść hasło buntu.

Trzeba było szukać sojuszników i tych — rzecz dziwna jak na ówczesne stosunki, choć tylko z pozoru — coraz wyraźniej upatrywano w pogańskich Litwinów. Z pozoru, ponieważ od dawna nad pięknymi hasłami wspólnoty chrześcijańskiej dominowały twarde interesy narodowe i aktualne układy. Oto przykłady: na początku XI wieku Henryk II (później kanonizowany) wódł przeciw Bolesławowi Chrobremu pogańskich Łuciców, u schyłku XIV stulecia obok Krzyżaków szli przeciw Litwinom nieochrzczeni jeszcze Żmudzi.

W 1325 r. został zawarty — prawdziwa, że krótkotrwała — pierwszy sojusz Polaków z Litwinami przeciw Zakonowi. Kiedy w następnych dziesięcioleciach między dawnymi partnerami stosunki układały się różnie, częściej źle niż poprawnie, Krzyżacy z niepokojem spoglądali na próby Kazimierza Wielkiego, który chciał w swoje ręce przejąć inicjatywę chrztu Litwinów, ostatnich pogan w ówczes-

nej Europie. W przypadku realizacji tego zamiaru, Zakon straciłby pretekst do swej szeroko zakrojonej działalności. Mieli bowiem oni na celu stworzenie potężnego państwa sięgającego od Pomorza po Inflanty. I tu i tam posiadali swe siedziby, dzielili je właśnie Żmudzi: stąd zaciekłe od połowy XIII wieku boje o tę litewską krainę.

Litwini, nękani częstymi napadami z Malborka, nie byli już w stanie walczyć na dwa fronty — na Rusi (podboje przyniosły im ogromne połacie tamtejszych księstw, w sumie zdobyte stanowiły 90% obszaru Wielkiego Księstwa Litewskiego) i w obronie swych ziem przeciw Zakonowi. Zdawali sobie z tego sprawę

nia Zakonu, na którego gruzach z czasem wyrósł potężny państwo pruskie — jednym słowem po upadku Rzeczypospolitej, kiedy czyniono rozrachunki z przeszłością i szukano przyczyn klęski, wówczas to Niemcy — cięgi z tytułu zła polityki zachodniej dostali się właśnie Jagiellonom. Niemala w tym zaśługa opinii wypowiedzianej już w latach Polski Ludowej.

A tymczasem... W tym samym Krewie, gdzie zakończył życie Kiejstut, w trzy lata później zebrał się Jagiello z braćmi i dostojnikami oraz posłowie polscy i w wyniku pertraktacji podpisali doniosły układ. Na jego mocy Jagiello zobowiązywał się do porzucenia wraz z krewnymi i poddanymi pogaństwa

JAGIELLONOWIE

A ŚLĄSK I POMORZE

Marceli Kosman

wybitni politycy, jakimi byli Giędymin (1315—1341), jego syn Olgierd (1345—1377) i wnuk Jagiello (1377—1434), od 1386 r. równocześnie król Polski. Z Olgierdem współrządził brat Kiejstut, który wziął na siebie front krzyżacki, podczas gdy pan na Wilnie prowadził wyprawę na Rus. Jednakże za ich panowania sytuacja wyraźnie zmieniła się na niekorzyść Litwy i trzeba było wybierać. Zrozumiał to młody Jagiello wkrótce po dojściu do władzy, Kiejstut nie bardzo potrafił się z nowymi realiami pogodzić. Dozł między nimi do konfliktu — umiejętnie podsyconego czy nawet zainicjowanego przez Krzyżaków — zakończonym tragedią starego władcy z Trok. Zakończył życie w podziemnych zamku w Krewie w tajemniczych okolicznościach. Był rok 1382.

Ale właśnie wówczas pojawiła się koncepcja nowego związku, tym razem trwałego, z Polską. Na Wawelu bowiem miała wówczas zasiąść — o czym już było wiadomo na dworach europejskich — młodziutka Jadwiga, córka Ludwika Węgierskiego, po każdej prawnuce Władysława Łokietka. Została w 1344 r. koronowana na królową, ale panowie polscy myśleli o mezu dla władcy. Nie warto kruszyć kpić o to, skąd wyszła inicjatywa. Niedługo zaciętrzewieni w sporach (bo do tych doszło w drugiej połowie ubiegłego stulecia) Litwini głosili, że to Małopolanie omal prosili na kłęczkach potężnego Jagiella; Duma narodowa natomiast niejednemu uczonemu czy bardziej jeszcze publicyście znad Wisły kazała twierdzić, iż w grę wchodziły wyższe — misyjne cele, a w ogóle chęć pomocy wobec zagrożonych Litwinów. To ostatnie było najbliższe prawdy, nie wierzymy jednak w altruizm na płaszczyźnie politycznej, tam liczyły się interesy. A w ogóle pomysł był znakomity i tylko przynosi zaszczęt temu, kto pierwszy zwrócił uwagę na znakomitą dla obu stron okazję.

Po stuleciach — kiedy za nimi znalazł się i Grunwald (Litwini odzyskali wówczas Żmudź, zyski strony polskiej były rzeczywiste, nieznaczne) wojna 13-letnia (Korona musiała wówczas o ujęcie Wisły walczyć własnymi tylko siłami) i kontrowersyjny układ krakowski — sławny „hold pruski” — z 1525 r. (znowu oskarżono Zygmunta Starego o niewykorzystanie szansę całkowitego rozgromie-

(wymieniono szereg dalszych warunków — jak zwolnienie jeńców polskich przebywających w niewoli na Litwie, przeniesienie skarbu wielkoksiążęcego na państwowe potrzeby Polski), a przedstawiciele Korony ofiarowali mu rękę Jadwigi i tron.

Jedno ze zobowiązań przyszłego monarchy dotyczyło dbałości o całość granic oraz odzyskania strat terytorialnych. Długosz niemal w sto lat później tak je sformułował: „Obiecuje odzyskać i wcielić z powrotem do Królestwa Polskiego ziemie pomorską, chełmińską, śląską, dobrzyńską i wileńską oraz wszystkie inne ziemie odstąpione, zagarnięte i oderwane od Królestwa Polskiego”. Zapamiętajmy te ziemie konkretnie wyliczone, one bowiem najbardziej bolały dziejopisów i jego współczesnych.

Jak długowieczny monarcha w ciągu niemal półwiecznego panowania wywiązał się z owego przyrzeczenia? Zwykle pamiętamy o Grunwaldzie, tymczasem był on poprzedzony ćwierć wieku trwającymi przygotowaniami, po czym przez tyle czasu król krzątał z owoców wielkiego zwycięstwa. Należy widzieć je więc łącznie z poczynaniami dyplomatycznymi, finansowymi, organizacyjnymi. Potężny przedwzrost, początkowo nie chciał przyjąć do wiadomości faktów unii polsko-litewskiej i nadal organizował krwawe wyprawy na Wilno z udziałem „gości” zagranicznych.

Tymczasem Jagiello spokojnie i poważnie, krok za krokiem realizował swe plany polityczne. Przygotowania do wielkiej wojny mającej na celu interesy Korony i Wielkiego Księstwa trwały długo. Król organizował zaplecze polityczne (zdobywał sobie zwolenników), ułożył na nowych podstawach stosunki między swoimi obu państwami (Polacy chcieli najpierw po prostu wcielenia Litwy do swego kraju, on tymczasem doprowadził do powołania w 1401 r. osobnego — prawdziwa, że podległego Władysławowi — wielkiego księcia, co zostało potwierdzone na stałe w 1413 r. przez unii horodelską), przygotował w ogólnym zarysie plany kampanii (po raz pierwszy w jednym szeregu mieli stanąć rycerze polscy, a obok nich lekka jazda litewska, żołnierze ruscy, a nawet Tatarzy), brał pod uwagę położenie europejskich i wschodnich metod walki. Ważne miejsce zajmowała aprowizacja, przewidywano bowiem wojnę długą i ciężką, toteż zawczasu

zarządzono wielkie łowy i gromadzone w beczkach solone mięso. Pamiętamy: przy mniejszym wysiłku militarnym później władcy odwoływali się zawsze o podatki, teraz bez nich się obezšlo.

Przebieg wojny z lat 1409—1411 jest znany. W wyniku pokoju toruńskiego Litwa odzyskała Żmudź — prawdą, że tylko do śmierci Jagiella i Witolda, o utrwaleniu tego stanu trzeba było toczyć jeszcze przez całe dziesięciolecie wyczerpujące obie strony boje. Polskie zdobycze terytorialne, jak zauważyliśmy, były niewielkie. O to wytaczano zarzuty obu władców, zwłaszcza wielkiego księcia litewskiego oskarżono o sabotażowanie walki z Krzyżakami po Grunwaldzie. A co by powiedzieli Litwini, gdyby wynikiem lipca 1410 r. były polskie zdobycze nad Wisłą przy pozostawieniu Żmudzi Krzyżakom?

Walki trwały dalej. W ramach polityki zachodniej trzeba też traktować zaangażowanie się Jagiella i Witolda w sprawy czeskich husytów. Istniał następujący układ sił: Król Czech i Węgier Zygmunta Luksemburczyk posługiwał się Krzyżakami, nasi władcy zaś grozili mu poparciem dla zbuntowanych tabórów czeskich. Wszyscy ci politycy doskonale znali wzajemnie swoje siły i możliwości; wiedzieli, że nie mogą doprowadzić między sobą do konfliktu zbrojnego. Porozumienie Polaków z husytami zawarte w 1432 r. zostało uznane za krok „przeciw całemu językowi niemieckiemu”. W następnym roku oddział czeski wraz z Wielkopolanami spustoszył Nową Marchię i ziemie krzyżackie aż po Bałtyk.

Po Grunwaldzie nie było beczynności, mobilizowano siły i robiono to wszystko, co było możliwe. Nie należy od zwycięzów wymagać zbyt wiele. Pośmiertnym sukcesem Władysława Jagiella stał się zawarty w 1435 r. w Brześciu Kujawskim traktat, który wprowadził nie przywracał Polsce utraconych terytoriów, a możnowładztwu zapewniał spokój i możliwość zainteresowania się Litwą, Rusią i wkrótce Węgrami, których królem został młodziutki następca i imiennik Władysława Jagiella. Podpisany wówczas dokument zawierał jednak doniosły punkt: mia nowicie gwarantem dotrzymania jego postanowień uczyniono stany pruskie — a więc poddanych krzyżackich.

Osiągało to pozycję panów z Malborka, stanowiło widomy krok na drodze do wzmocnienia miejscowego rycerstwa. Nie minęło lat dwadzieścia, a stany pruskie wysłały poselstwo na Wawel i oddały się pod opiekę młodszego syna Jagiella — Kazimierza Jagiellończyka. Ten przyjął propozycję, ale dla ich realizacji trzeba było długiej, bo trzy naście lat trwającej wojny. „Krzyżacy nie mieli zamiaru kapitulować, a przebieg walk świadczy, że wcześniej ich państwo było na tyle potężne, by skutecznie stawiać opór Polsce nawet w połączeniu z Litwą.

Pokój toruński (drugi) z 1466 r. stanowił logiczne ogniwo w programie zachodnim Jagiellonów, którzy od 1386 r. zmuszali wielkich mistrzów do przyjmowania postawy obronnej. Kropkę nad „i” stanowił Grunwald, wtedy potęga Zakonu doznała druzgocącej porażki. Wyniki wojny trzynastoletniej oznaczały maksymalne wykorzystanie ówczesnych możliwości Polski. Odzyskano część Prus oddat zwanych Królewskimi wraz z Malborkiem, Gdańskiem, Elblągiem i Toruniem (przy Krzyżakach pozostała ich wschodnia część, a siedziba władz znalazła się w Królewcu), wielcy mistrzowie stawali się holdownikami króla.

Ale wojna obnażyła też słabości Polski. Papież nie zatwierdził traktatu — toteż w ciągu następnego sześćdziesięciolecia Polska dążyła do przestrzegania postanowień, a Zakon je ignorował. Sytuacja coraz bardziej zagnęła się i wreszcie w grudniu 1519 r. sejm podjął

uchwałę o rozpoczęciu nowej wojny z wielkim mistrzem. Dodajmy — jak wykazują najnowsze badania — Krzyżacy prowokowali Jagiellonów, licząc na wygraną w kolejnym konflikcie i na pomoc ze strony zachodu, zwłaszcza książąt niemieckich. Z nich to wywodzili się dawni ostatni wielcy mistrzowie. Sprzątał im też cesarz Maksymilian z dynastii Habsburgów.

Zawarty w 1525 r. traktat odpowiadał polskiej racji stanu, zabezpieczał interesy Korony w Prusach Książęcych i stwarzał szanse ich odzyskania w przyszłości. Dawny wielki mistrz — teraz książę w Prusach — był lennikiem króla, w dodatku jako luteranin stawał w konflikcie z cesarzem. A ten szachował Zygmunta Starego groźnym przykładem między Wiedniem, a Moskwą.

Albrecht Hohenzollern z perspektywy wieków pozostaje postacią dla Polski złowrogą, stanowił synonim przyszłych rozbiorów. Tak też go ukazuje na swym wspaniałym obrazie Jan Matejko. Chwilowo jednak nie nie zapowiadało takiego obrotu sprawy. — Książę utrzymywał bliskie kontakty z Polakami, był mecenasem naszej kultury, a w sprawie politycznej — mimo swych usiłowań — nie dawano mu wstępu. Ale stopniowo Rzeczpospolita Złotego Wieku traciła potęgę, podczas gdy lennik wzrastał. Dodajmy — zwłaszcza od momentu, kiedy udało mu się połączyć w jednym ręku Brandenburgię i Prusy.

Kolejni władcy polscy odchodzili od postanowień z 1525 r. Zygmunta August w 1563 r. wyraził zgodę na opiekę brandenburskich Hohenzollernów nad umysłowo chorym jedynym synem Albrechta. Dalsze ustępstwa wiązały się z osobami Stefana Batorego i Zygmunta III (przejście lenna pruskiego na linię brandenburską) wreszcie Jana Kazimierza. Wtedy to lennik uzyskał samodzielną, ale było to — pamiętamy — po krwawym „potopie”.

Z zobowiązań Jagiella wywiązał się on sam i młodszy syn w odniesieniu do ziem pruskich. Natomiast nie udało się dynastii litewskiej odzyskać Śląska, nie wykazali wystarczającej aktywności, a może nie pozwoliła na to sytuacja polityczna w Europie XV i pierwszej połowy XVI wieku. Natomiast królowa Bona proponowała wymianę tej ziemi na swe włoskie dziedzictwo (Bari).

Innym razem sugerowała, by Habsburgowie otrzymali Siedmiogród (władala tam córka jej i Zygmunta Izabela, wydana za Jana Zapolę), a oddała księstwa glogowskie, opolskie i raciborskie. Obaj Zygmunowie jednak, rozważni, nie dostrzegali szans dla takiego planu. Zresztą wielu nie zdawało sobie sprawy z polskiego charakteru Śląska, stąd zdumienie podróżników słyszących tam na początku XIX wieku polską mowę i bulwersujące rodaków ich doniesienia.

Polityka zachodnia Jagiellonów nie pozostawała w próżni ale była ściśle powiązana z układem sił na wschodzie i kresach południowych. To jednak już odrębne zagadnienie. Pytanie zaś, jak ocenić koncepcję zachodniej dynastii, powinno prowadzić do odpowiedzi pozytywnej. Efekty były widoczne — odzyskano straty na Pomorzu i odsunięto niebezpieczeństwo agresji krzyżackiej. Nikt nie realizuje na ogół wszystkiego, co trzeba zostawić dla późniejszych pokoleń. Tak było też w wypadku Jagiellonów, pod których rządami Polska była państwem silnym, znajdowała się w doskonałej sytuacji gospodarczej. Miał rację Henryk Sienkiewicz, który z przenikliwością historyka wyeksploatował w swej powieści szczytowy sukces, jaki przyniosła pierwsza połowa panowania Władysława Jagiella, a następnie nawiązał do zwycięstwa w wojnie 13-letniej i zakończył:

— „Wiem, tobie, wielka, święta przeszłości i tobie, krwi ofiarnej, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!”

UCIECZKA GENERAŁA

Jerzy Piotr Majchrzak

W lutową noc 1831 roku, zanim jeszcze pierwszy kur zapiał, głuchy szmer zmącił ciszę usypionych wód Odry nieopodal czwartego frontu glogowskiej twierdzy. Rozległ się plusk wody, poruszanej wioślami. Od brzegu odbiła łódź rybacka, w niej sylwetki trzech mężczyźni, szczerle okrytych, z kapeluszami głęboko nasuniętymi na twarz.

Nazajutrz wieść rozeszła się po Głogowie, że poprzedniej nocy uciekli z twierdzy pilnie strzeżony więzień, polski generał Jan Nepomucen Umiński, skazany przez pruski sąd wojskowy na 7 lat twierdzy za działalność patriotyczną. Dla pruskiego komendanta twierdzy pułkownika von Trotha ucieczka Umińskiego była całkowitym zaskoczeniem. Dowództwo twierdzy było przekonane, że cała akcja nie mogła odbyć się bez pomocy ze strony oficerów, bezpośrednio odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Umińskiego. Zdawano sobie sprawę z tego, że znaczne grono młodych oficerów sympatyzowało z walczącymi o niepodległość Polakami i że z uwagą śledzono postępy powstańczych wojsk pol-

skich w Królestwie Polskim, ale nigdy nie przypuszczano, że sympatie te przekształcą się w realny czyn, umożliwiający ucieczkę niebezpiecznego więźnia stanu.

Reakcja władz wojskowych garnizonu glogowskiego była natychmiastowa. Dowódca fortecy czwartego pułkownika von Sacke'go zawieszono w czynnościach i zamknięto w areszcie domowym; kilkunastu oficerów załogi fortecy aresztowano pod zarzutem zdrady stanu. Wysłano listy gończe. W stan alarmu postawiono wszystkie posterunki policji i komory celne wzdłuż całej granicy z Królestwem Polskim. Powiadomiono o ucieczce Umińskiego władze austriackie i rosyjskie.

Urodzony w roku 1780 Jan Nepomucen Umiński od najmłodszych lat związany był z ruchem narodowo-wyzwoleńczym. Jako czternastoletni walczył już w szeregach wojsk powstańczych pod wodzą Tadeusza Kościuszki. Szlify oficerskie zdobył w kampanii napoleońskiej. Ranny w bitwie pod Lipskiem dostał się do niewoli rosyjskiej. Czynną służbę wojskową w wojsku polskim opuścił w stopniu ge-

nerała i osiadł w swym rodzinnym majątku w Poznańskim.

Działalności patriotycznej nie zaniechał. W roku 1821 założył wraz z Walerianem Łukaszkim Związek Kosynierów i Towarzystwo Patriotyczne, obejmujące swoją działalnością wszystkie ziemie polskie, budząc ducha narodowego i dążenie do odzyskania niepodległości. Po rozbiu przez władze carskie w roku 1825 ruchu dekabrystów ujawniono ściśle powiązania pomiędzy Towarzystwem Patriotycznym a rewolucjonistami rosyjskimi. Nastąpiły liczne aresztowania. Aresztowano także Umińskiego. Na żądanie Berlina policja carska wydała Umińskiego władzom pruskim. W roku 1827 został oskarżony o działalność na szkodę państwa pruskiego. Rozprawa przeciwko Umińskiemu odbyła się przed pruskim sądem wojskowym w Toruniu. Skazany został na 7 lat twierdzy, początkowo w Grudziądzu, a od roku 1829 w Głogowie. Tu zastał go wybuch powstania listopadowego 1830 roku.

Toruńskiemu procesowi Umińskiego towarzyszyła na łamach prazdnowych gazet pruskich antypolska nagonka. Liberalna, opozycyjna prasa bardzo ostro zareagowała na te wystąpienia. Między innymi liberalny, postępowy „Tygodnik Zielonogórski” pod redakcją Ludwika Kriega zamieścił cykl tekstów historycznych z dziejów Polski, których przewodnią myślą była idea wolnego ludu, rządzonego przez rozumnych, sprawiedliwych rodzimych władców, walka z tyranią i niespra-

wiedliwością. Druk tych tekstów nie był przypadkowy. W kontekście antypolskich wystąpień gazet zbliżonych do berlińskiego dworu, materiały „Tygodnika Zielonogórskiego” uważano za pewnego rodzaju polityczną ripostę polonofilskiego wydawcy z Zielonej Góry. W październiku 1829 roku „Tygodnik Zielonogórski” odnotował fakt deportacji Umińskiego z Grudziądza do Głogowa.

Początki twierdzy glogowskiej sięgają lat wojny trzydziestoletniej. Kiedy w roku 1627 cesarski wódz Wallenstein zajął miasto, postanowił zbudować twierdzę z „bastionami i wermami zewnętrznymi, wysuniętymi” dla powstrzymania Szwedów. Niewiele to po mogło. W maju 1642 roku wojska szwedzkie pod Torstensonem szturmowały miasto i twierdzę, opuszczając ją dopiero w roku 1650. Rozbudowa fortyfikacji nastąpiła po przyłączeniu Głogowa do Prus w 1741 roku. W 1806 miasto i twierdzę zajmują Francuzi. Generał Laplane, francuski komendant Głogowa, poddał miasto i twierdzę dopiero 17 kwietnia 1814 roku, już po upadku Paryża. Twierdzę zamieniono na koszarę i więzienie dla szczególnie niebezpiecznych dla państwa pruskiego więźniów. Trzeba było dopiero traktatu z Wersalu 1919 roku, żeby pruskie fortyfikacje rozebrać i częściowo wykorzystać materiały do regulacji koryta Odry.

Udana ucieczka Umińskiego z twierdzy glogowskiej nastąpiła 17 lutego 1831 roku. 31 marca uczestniczył już w zwycięskiej dla wojsk polskich bit-

wie pod Wawrem. Awansowany do stopnia generała dywizji dowodził ósmym korpusem w zakończonej klęską Polaków bitwie pod Ostrołęką w dniu 26 maja 1831 roku. Po bitwie, która w znacznej mierze zadecydowała o upadku powstania, Umiński wystąpił z ostrą krytyką pod adresem naczelnego wodza powstania generała Skrzyneckiego, zarzucając mu nieudolność i brak zdecydowanej postawy. Stanowisko Umińskiego zraziło do niego część generacji, która wymusiła na Rządzie Tymczasowym pozabawienie go komendy nad korpusem i odsunięcie od powstania. Uczestniczył jeszcze w obronie Warszawy jako ostatni naczelnik wódz powstania.

Po upadku powstania Umiński udał się na emigrację do Francji, gdzie związał się z obozem Adama Jerzego Czartoryskiego. Opublikował szereg pism, w których bronił swego stanowiska wobec listopadowego czynu zbrojnego, upatrując przyczynę klęski w kapitulancji postawie generacji. Odsunięty od spraw polskiej emigracji osiadł w niemieckim Wiesbaden, gdzie w roku 1851 zmarł. W roku 1835 pruski sąd wojskowy skazał Jana Nepomucena Umińskiego zaocznie na karę śmierci. Wyrok zatwierdził Fryderyk Wilhelm III. Jego następca na tronie pruskim, Fryderyk Wilhelm IV, w roku 1842 wyrok unieważnił.

Twierdzy glogowskiej, symbolu prusactwa, w której niejedynemu rodakowi Umińskiego poczuł na własnej skórze niemieckie „posłannictwo na Wschódzie” od dawna nie ma już w pejzażu Głogowa.

Właściwie nie spieszysz się tak bardzo do celu. Teraz papierosa, nie od razu, najpierw myśl o nim i lawce po drugiej stronie ulicy. Usiądziesz i niewątpliwie nie będziesz zwracał uwagi na czynności związane z zapaleniem papierosa jak i samym jego paleniem.

Tymczasem przechodzisz przez jezdnię, wciąż obserwując starszego mężczyznę w łachmanach. Mężczyzna przysiadł na skraju ławki, najprawdopodobniej zmęczony pchaniem makulatury trzykrotnie przewyższającej kulejący wózek. Zbiera cze przeróżności. Znam ich od dawna. Zazdroszczę im uporu i sensu, które znajdują u progu każdego dnia. Zwykła codzienność jest dla nich bezpieczeństwem. Można ich spotkać niemal na każdym obszarze zamieszkałym przez większe skupiska ludzi i to bez względu na ideę, systemy polityczne, czy konstytucje. Tu, szukają przede wszystkim materiałów wtórnych, gdzie indziej, im podobni szukają jedzenia, albo przedmiotów, które można byłoby sprzedać lub przez jakiś czas ich używać. Są zawzięci wobec życia. Niewątpliwie tego mi brakuje, i niewątpliwie nie zo stałem w nią wyposażony, być może, ale tylko być może, zadziałał tu okres historyczny i jestem słabeuszem bez siły przebiccia, należącym do pokolenia powojennego. Dziś nie walczy się o przetrwanie kolejnego dnia, przynajmniej nie tu, a jeśli czasami tak się zdarza, to nie jest to powszechnym zjawiskiem.

Mężczyzna na lawce jest inspiracją. Skłonił mnie do odłożenia celu, jaki miałem przed sobą, opuszczając moją twierdzę, i jeszcze wcześniej (należy się cofnąć do poprzedniego dnia, kiedy nastawiałem budzik z zamiarem pójścia do pracy).

Przechodzisz przez jezdnię nieco na skos, wybierając lawkę w słońcu. Masz za sobą krótkie przetworzenie informacji o sobie i zbieraczach przeróżności. Będąc na jezdni, i jeszcze wcześniej, gdy zatrzymałeś się spostrzegając mężczyznę w łachmanach, nie mogłeś wiedzieć, czy poza weryfikacją celu i przetworzeniem informacji, mężczyzna siedzący na lawce, stanie się przyczyną nastroju, któremu ulegasz wchodząc na krawędź chodnika.

Nastrojów powtarzających się w życiu samotnika (w niedoskonałym wydaniu) posiada duże znaczenie w nieodpartej chęci przypominania. To nie to, bym tęsknił do przeszłości. Nie posiada dla mnie żadnego znaczenia. Uruchamiam całym bezpiecznym zapalnikiem fabularyzmu i sprawia mi on ogromną przyjemność.

Wychodząc na krawędź chodnika odczuwasz odmienny nastrój. Teraz wiesz, że ten mężczyzna w łachmanach, jego postura, rosła i wychudzona, przypomina ci wielką namiętność, wilgę Edenu, i śmierć, wiążącą się w pewnym stopniu z uporem i sensem, cechującą ludzi (aczkolwiek nie zawsze), których młodość przywodzi na czas wojny.

Długoletnia, bliższa znajomość z Nimfą miała być tylko przygodą. Taka stała się pomiędzy nami umowa. Dla mnie jest to okazja, powiedziałem wprost. Lubie jasne sprawy, choć wtedy nie zawsze potrafiłem odważyć się na byle prawdziwym (czytaj bezpośrednim). Byłem wolny i bez grosza, i żadnych planów na wakacje.

Nimfa należała do kobiet, które upiększają rzeczywistość nadając jej sensu i wartości. Z taką dziewczyną chciało się żyć, godząc się na takie jakie ono jest, odczuwając jednocześnie jego uroczę istnienie. Nie można cię nie pragnąć. Była uniwersalna. Takie jest piękno. Nie wiem, czy to ono, czy reprezentatywność Nimfy i blask luksusu uniemożliwiały przez dłuższy czas (taktemu jak ja) zawarcie bliższej znajomości. Chyba jedno i drugie było powodem dystansu jaki do niej czułem: i moja nieśmiałość. Piersi miała duże, ale nie był to przerost gruczołów. Dziewczyna marzenie, długie nogi i kobieca cud na twarz, co w połączeniu z jej dziewczęcym, niemal dziecięcym brzmieniem głosu, działało stymulująco na mężczyznę. Widywano ją w najlepszych knajpach. Nie szukała tam szczęścia ani przygód w bardziej wyborowym towarzystwie. Miała pieniądze, więc lubiła lepiej zjeść i lepiej być obsłużona. Pamiętam, że nie była dziewczyną łatwą, z którą, przy minimum przedświeblności, można pójść do łóżka. Nazwałem ją Nimfą i to się jej spodobało. Czasem zamienialiśmy na uczelni kilka słów, nie więcej. Wiedziałem, że z nikim nie umawia się na propozycje odpowiadając — mam z kim chodzić do kina.

Po raz pierwszy bliżej.

Kupuję lodę, odwracam się od kiosku i natykam na Nimfę. To dla ciebie, ja lodów nie lubię. Tak naprawdę miałem ochotę na lodę w to upalne popołudnie, nie mając grosza na drugiego. Spieszyła się, podziękowała i liść lodu spogląda na mnie z większą uwagą niż zazwyczaj. Dużo tracisz, nie lubię lodów. Obiecuje zrewanżować się piwem.

Patrzę za nią: Sza obojętna wobec sklepów i barów, była syta, wypieszczona, pachnąca i zaspokojona, lepsza we wszystkim, co można kupić.

Po raz drugi z Nimfą bliżej.

Zaprosiła mnie na obiecane piwo i wysmienity obiad. Później na dwa tygodnie do willi swoich rodziców. Traktuj to jak przygodę z seksowną dziewczyną.

I zaczęło się w nieustannym popijaniu czystej rozcieńczonej sokiem pomarańczowym. Po raz pierwszy w kuszetce do rana z Nimfą odkrywana i pieszczona w seansie oralno manualnym.

Willę jej rodziców wzięta z żurnalu zachodniego pisma. Położona wewnątrz osiedla o wiele starsza od współczesnej zabudowy. Budziliśmy się nie wierząc, że Nimfa należy do mnie, o czym jeszcze wczoraj nie śmiałem marzyć, a jeśli, to innym marzeniem, o którym wiemy, że nigdy się nie spełni.

Nimfomanka i erotoman, niespożyty w zasobie erotycznej energii. To niemożliwe. Podejrzewam Nimfę o serwowanie nam afrodyzjaków pod nieznana mi postacią. Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, skąd bierze się u mnie erekcja po kilkugodzinny stosunek. Wspaniałe są bajki, które się spełniają. Wchodziliśmy powoli w stan maniakałnoerotyczny przy czystej rozcieńczonej sokiem pomarańczowym i w nieustannym brzmieniu muzyki, grały kapele i orkiestry, grały jazz, blues, ragtime, swing, w dzień i w noc. Oddaje część bosactwu dźwięku i winię go za doznawanie dewiacji dotychczas akustyki, zwłaszcza w noc, kiedy kończyła się taśma magnetofonowa i zaczynała nam brakać dźwięku (odczucie silne jak brak powietrza).

To jest szaleństwo. Mówiłem. Odczuwamy się puskami z całego świata. Jedynym problemem jest chleb, którego w puszkach nadaremno szukamy. Kochamy się i kochamy odpowiadając ten kult z przerwami na sen a sen nie wiadomo, czy jest snem, czy kontynuacją tej miłości.

Ja, erotoman (tej przypadłości doznałem po raz pierwszy) dopatruję się w każdym ruchu seksu. Uczucie przedziwne. Czuję się jak król i stwórca. Pornografią jest widok liści poruszanych przez wiatr, oddech i palenie papierosa, każdy rytm i poruszanie się. Defloracja jest otwierana konserwa a wnętrza przedmiotów są pochwa kobiety. Zmysłowość doprowadzona do skrajności. Chwilami fizjologia odmawia mi posłuszeństwa. Patrzę na zasmieszającą mały koniec przewodu moczowego, który nie może być w chwili tej niczym innym. A na tę przypadłość pomaga czysta rozcieńczonej sokiem pomarańczowym i nowy pomysł Nimfy. Poczekaj i nie zasypiaj. Wychodzi do łazienki. Za chwilę powinniśmy zasnąć, nie mogę wytrzymać skrajnego zmęczenia.

NIMFA

Wiesław Chojnacki

Do pokoju wchodził Nimfa i nie wiem czy to sen, czy jawa. Kształtem przypomina Nimfę, lecz nią nie jest. Fakt, że nikt inny nie mógł wejść do tego pokoju jest bez znaczenia. Inna fryzura, makijaż, brzmienie głosu i duża jedwabna przepaska na biodrach. Jest prostytutką, mówi, zna dobrze swój zawód i traktuje go poważnie, jej specjalizacją są mężczyźni cierpiący na brak erekcji. Najpierw go obmyjemy, mówi pieszczotliwie jak do dziecka, nałożymy krem odpowiedni do tego celu... czujesz, na nim chłód, jakby obłożono genitalia lodem, za chwilę poczujesz ciepło i wzróż, teraz chucham i pieszczę małe orzeszki, obśliniam i liżę, jest ciepło, coraz ciepło... I robi to skutecznie.

Leon Staśkiewicz

do Różycki

w krainie tej
gdzie pod powierzchnią ud
tętnią szczęścia rzeki
jesteś kwiatem czasu

i kiedy myślisz że mnie nie ma
to ja jedyny zdobywam
niedosiężne sutek wieże
i tam gdzie pozostanę
— wieczności pieprzykiem

twoja wyspa

ZOSI glińskiej

jest w tobie niepokonany spokój
gdzie ułaskawiony oddycham
w cienistej muszli nieba

dajesz mi pokorę drzew
które wyspie odbiera morze

piasek zastąpił mi ręce

jesteś pokarmem
tyle ile mnie

Alkohol od początku działał jak narkotyk (nigdy się nie upiiliśmy). To niemożliwe, Nimfo, gdzie moje nasienie? Twoje najdłuzsze wyszło a jadra nie nadążają z produkcją. Nie jest pewna, czy coś było, czy nie, i wcale nam to nie przeszkadza. Siada mi krocem na twarz i nazywa te pozycje ujeżdżaniem mężczyzny. Chwilami orgazm jest nielotny. Doznaję dziwnego upojenia, równie silnego jak orgazm, z tą różnicą, że doznanie to trwa kilkanaście minut. To jest szaleństwo w nieustannym popijaniu czystej rozcieńczonej sokiem pomarańczowym i wynajdywaniu nowych pozycji. Jedną z nich, jogistyczną, bez skutku ćwiczenia, wymaga ode mnie niemal skróconego kregosłupa. To było za wiele jak na moje sztywne ciało, a zwłaszcza kregosłup, w którym coś trzasnęło unieruchamiając mnie na kilka godzin.

Nimfa pielęgniarka. Masaż, smarowanie, wkłapywanie, a na koniec wata przeciw brionchitowi i czemuś tam jeszcze. Nazajutrz w pełni sprawny odczuwam lekki ból i wcale nam to nie przeszkadza w kontynuowaniu miłości z uwzględnieniem najbardziej prymitywnych mebli, takich jak stół i krzesło. W nocy robimy to na gabkach rozłożonych na tarasie. Blask księżycy, obrót i twarz Nimfy, obrót i blask księżycy, miłość kulankowa, taras jest długi.

Sceny miłosne w literaturze pięknej

To samo, lecz w wodzie i wannie doprowadza mnie do szczególnej przypadłości. Nie pomaga wazelina. Otarcia są widoczne i bolesne. Niebędna okazuje się pomoc farmaceutyczna w postaci flaszki jakiegoś kwasu i maści z antybiotykiem. Jest lepiej, nie boli. Ranny eros staje się przyczyną nowych podniet Nimfy. Głównie narzędzie poddało się rekonwalescencji, ale czy jest ono główne? Byłem tym samym, choć wtedy nie zastanawiałem się, kim jestem, odbierając nadpobudliwość seksualną, której patologia wcale nam nie przeszkadzała, jako chwilową de wiację w specyficznych warunkach, w nieustannym przyjmowaniu czystej rozcieńczonej sokiem pomarańczowym, być może afrodyzjaków pod

plynie się w sobie po czym wyparuje jak woda a ja, zastanę rzeczywistość zupełnie inną, bez możliwości powrotu do poprzedniej. Pomimo tych obaw usiadłem obok mężczyzny na lawce, i z chwilą tą mężczyzna przerywa modlitwę. Zagaduję o pogodzie. Nie reaguje ani na moje stwierdzenia ani na pytania. Nimfa przyciąga mnie jakąś parapsychologiczną siłą. Patrzy z tarasu. Wzrok też potrafi przywoływać.

Z tarasu wraz z Nimfą. Mężczyzna w jednej pozycji długo nie wytrzyma. Ma ręce złożone na krzyż. Po chwili spłata dlonie, unosi głowę i porusza ustami. Klęka przed lawką, atak kaszlu. Wstaje, dwa kroki i nagle nie-ruchomieje, jakby na rozkaz, rażony tym czymś, co powstrzymuje go od ruchu w nieustannej modlitwie, jakby miał w sobie wmontowaną katarynkę i kręcił jej bębniem. W scenarii osiedla. Plac i piaskownica, dorodzi i dzieci, nikt nie zwracał na mężczyznę uwagi, jakby nie istniał, dla nas będąc bardziej naszym wyobrażeniem o nim, gdy z gorliwością ustawiamy go na baczność, każąc mu zasłutować w geście uniesionej głowy i niezrozumiałego belkotu. To żołnierz Andersa, mówię. Nimfa przyjmuje to za prawdę. Nie wiem, skąd wzięłem tego Andersa. Wierzymy oboje i w jego Boga, któremu niesie modlitwę, przerywaną atakami kaszlu, w prośbie o miłosierdzie, by pokonać trwogę i ból, i niepewność jutra, w prośbie o sprawiedliwość, bo jakaś musi być na tym świecie, i z wiarą w belkot rozumiały jemu i Temu, do kogo się zwracał, prosząc o zrozumienie.

Muszę to mieć, Nimfo. Miałem zamiar podejść w nocy pod balkon i nagrać modlitwę mężczyzny. Nie było kasieciaka. Za te pięć tysięcy orgazmów musisz zrobić to dla mnie. Nie było problemu. Najlepszy jaki był w pewekcie. Pieniądz sprawia cuda.

W nim jest coś, co jest mi bliskie, być może do czego tęsknię. To nawet ciekawe, powiedziała, nie przerywając malowania paznokci. Kiedy Nimfa mówi — ciekawe, dopatruję się w tym seksu. Pamiętaj, że jesteś śmiertelna. Co zrobisz, gdy staniesz przed Bogiem, taką możliwość trzeba brać pod uwagę. To będzie ciekawe, i kończąc malowanie paznokci. Zie mnie zrozumie, ale chce się, powtarza to w rytmie czarnego bluesa. Zaluzuje opadając. Nimfa zajmuje się rannym erosem, przemywa go jakimś kwasem, smaruje maścią i moja rekonwalescencja wcale nam nie przeszkadza. Siada mi okrzakiem na kolanach. Zawijam mi oczy czarną przepaską i poruszamy się w rytmie czarnego bluesa. Jej śliska dłoń wypełnia się moim ciałem poddanym rekonwalescencji, teraz elektrycznym aparatem do masażu, który musiał w nią wejść, bo ucielił jego terkoł a wzrosła jęklliwość jej ust. Osuwa się pośladkami poniżej moich kolan, jej usta wypełniają się moim ciałem, słyszę jęklliwość, teraz jej nozdrzy i dźwięk roznoszony na mnie w rytmie, teraz szybszym od rytmu czarnego bluesa.

Były to chwile decydujące dla mężczyzny z podwórka. Jego dramat rozgrywał się po drugiej stronie placu. Staliśmy na tarasie zaszkokowani, tym, co się stało. Nie tak łatwo było dostać się do mieszkania mężczyzny. Okna miał za kratowane od wewnątrz, a drzwi zaryglowane żelazną sztabą. Nie można było mu pomóc, skoro w jednej chwili stanęło w płomieniach mieszkanie a on, uwięziwszy dlonie w sprytnie umocowanych stalowych drutach przytwierdzonych do krat, palił się ukrzyżowany w przeciągłym wyciu przerywanym atakami kaszlu. Obrońca swej twierdzy, jak się później okazało, przed eksmisją i przytułkiem dla przewlekłych chorych, ostatnim aktem woli, zniszczył przez siebie wznieśloną kaplicę, przewidując ten akt już wtedy, gdy wzmacniał okna swej twierdzy, magazynując benzynę w ukryciu przed siostrą PCK. Dokonał samopalenia z równą gorliwością, z jaką niósł modlitwę swojemu Bogu.

Magnetofon był niepotrzebny. Piliśmy za spójność mężczyzny, już bez soku pomarańczowego. Pozostał we mnie lek przed natychmiastową zmianą losu. Czy modlitwa była dla niego odrobinę nieba? Nimfa płakała. A jeśli nie znalazł tam swojego Boga? Będzie nic.

Upiliśmy się po raz pierwszy od dziesięciu dni. Pozostały cztery doby do pożegnania i przez ten czas nie mieliśmy ochoty na seks, ograniczając się do pieszczot. Miłość zmysłowa przeistoczyła się w duchową. Pragnąłem, by starzec miał pogrzeb od nas. Nimfa spełniała każdą moją prośbę przy nieustannym popijaniu czystej już bez soku pomarańczowego. W kondukcie żalobnym miał iść ksiądz, z modlitwą, cichą, tak, by nie była dla nikogo zrozumiała. Za księdzem dziesięciu mężczyzn w czarnych uniformach i dziesięciu w mundurach kombatanckich. Mężczyzna miał być chowany jako były żołnierz Armii Andersa. Uparłem się przy tym. Reszta należała do Nimfy. Występowała jako siostra PCK opiekująca się starcem. Widziałam jego dokumenty, które potem spaliły się, ale mogła przysiąc, że starzec był u Andersa. Żądano świadków. Sprawa miała się przeciągnąć. Pozostała nam tylko sprawa kombatanatów. Nimfa wyszukała kilkanaście adresów i chodziła po mieszkaniach proponując po trzydzieści dolarów niby spełniając ostatnią wolę starca. Pieniądz sprawia cuda. Za trumną szedł ksiądz, szeptał niezrozumiale dla mnie słowa, za księdzem dziesięciu mężczyzn w czarnych uniformach wypożyczonych z teatru, za nimi dziesięciu kombatanatów z medalami na piersiach, na końcu ja z Nimfą. Na tabliczce zawieszzonej na krzyżu jest napisane:

Tu spoczywa nieustraszony żołnierz Armii Andersa
Pokorny obrońca swej twierdzy.
Pod spodem napisu, imię i nazwisko, oraz słowo kończące — Amen.

(Fragment powieści)

Proszę się przedstawić czytelnikom „Nadodrza”.

— Za rok osiągnę czterdziestkę. Ukończę filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, a potem Wydział Reżyserii w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, również w Warszawie. Jako reżyser debiutowałem w... Lubuskim Teatrze im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Była to „Mandragora” Macchiavellego. Pamiętam zupełnie nieźle recenzję w „Nadodrzu”. A od dziecka Zygmunta Hübnera dostawałem za ten warstak czworak. Potem reżyserowałem m.in. w Bydgoszczy, Szczecinie, Gorzowie Wielkopolskim, Częstochowie, Kaliszu. Ostatnie osiem lat pracowałem w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Ko-

— Oczywiście, oczywiście! A w Jeleniej Górze gra się na przykład Witkacego. Jak to wspinał, prawda? Ty le, że w Gorzowie oprócz Gombrowicza gra się również „Krakowiaków i Górali” a w Jeleniej Górze „Boso, ale w ostrogach”. A więc i tam nie odziedziczyłeś się do sztuk muzycznych. A przecież i w naszym repertuarze znajdują się Sofokles, Molière i Szukszyn, autorzy utworów o dużym ciężarze gatunkowym. A więc trochę cierpliwości, smakosze. Czy to naprawę taki grzech, że rozpoczęliśmy od leższej muzy?

— Jak jest plan repertuarowy na cały sezon? Jak w nim jest miejsce dla sztuk współczesnych i sztuk muzycznych?

— Oczywiście, oczywiście! A w Jeleniej Górze gra się na przykład Witkacego. Jak to wspinał, prawda? Ty le, że w Gorzowie oprócz Gombrowicza gra się również „Krakowiaków i Górali” a w Jeleniej Górze „Boso, ale w ostrogach”. A więc i tam nie odziedziczyłeś się do sztuk muzycznych. A przecież i w naszym repertuarze znajdują się Sofokles, Molière i Szukszyn, autorzy utworów o dużym ciężarze gatunkowym. A więc trochę cierpliwości, smakosze. Czy to naprawę taki grzech, że rozpoczęliśmy od leższej muzy?

— Od reżyserów, których angażuję do współpracy, wymagam jedynie, aby porządnie robili przedstawienie, nad którym pracują. Nie wtrącam się do sposobu pracy, ponieważ każdy ma swoją metodę. Co najwyżej dzielę się z nimi swoimi uwagami. I wcale nie zazdroszczę, jeżeli zrobią dobry spektakl, ponieważ siłą rzeczy część splendoru spada na mnie!

— W jaki sposób, reżyserując sztukę, pracuje Pan z zespołem aktorskim?

— Wspominałem już, że każdy reżyser ma swoją metodę. Moja nie jest ani najlepsza, ani najgorsza, gdyż podobna ocena w ogóle nie ma sensu. Po prostu, bardzo wierzę w aktora. Staram się zostawić mu wolną rękę i zbytnio go nie ograniczać własną interpretacją roli. Bardzo często spotyka mnie za to nagroda: oto nagle aktor otwiera się i buduje rolę zaskakująco interesującą. Bywa jednak, że metoda ta okazuje się zawodna. Wówczas trzeba wywiercać na aktora pełną presję.

— Co Pan w swojej pracy artystycznej uważa za sukces?

— Sukcesu jako takiego jeszcze nie osiągnąłem. Myślę, że odpowiedź zawiera się w podsumowaniu tego, co powiedziałem. Sukcesem będzie dla mnie teatr dysponujący sprawnym zespołem, mający widzów chłonnych, zainteresowanych teatralnymi propozycjami. To znaczy widzów-partnerów. Nie bardziej nie buduje niż twórcza dyskusja.

— Lubi Pan aktorów?

— A czy można nie lubić kogoś poprzez kogo realizuje się swoją pracę? Lubię aktorów, więcej, szanuję ich. Każdy aktor w większym lub mniejszym stopniu jest człowiekiem dotkniętym przez palec boży. I jak każdy wybraniec, narazony jest na wloty i upadki. A w gruncie rzeczy, co pozostaje po jego wysiłku? Oklaski widzów, recenzja, dobra czy zła, która łącznie z papierem, na którym jest wydrukowana. I na tym polega cudowność i przekleństwo tego zawodu.

— Co jeszcze chciałby Pan przekazać czytelnikom „Nadodrza”?

— Chciałbym powiedzieć wszystkim naszym widzom — dorosłym i dzieciom, nauczycielom i młodzieży szkolnej: Zapraszamy do nas. Przychodźcie i oglądajcie nasze przedstawienia. Ale niech na tym nie kończy się nasz kontakt! Spotkajmy się. Dyskutujmy, bo od Was pragniemy się dowiedzieć, jakiego chcecie teatru. A jeżeli ta wymiana poglądów będzie owocna, będziecie mieli teatr, który spełni Wasze oczekiwania.

— Dziękuję.

ANNA DZIECHCIAROW

TEATR — ALE JAKI ?

Rozmowa z Krzysztofem Rotnickim
dyrektorem artystycznym Lubuskiego Teatru

szalinie, z tego cztery lata jako dyrektor artystyczny. W tym okresie teatr koszaliński trzykrotnie otrzymał nagrody: raz na Festiwalu Teatrów Małych Form w Szczecinie i dwa razy na Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu. Myślę, że jest to zupełnie niezły dorobek jak na teatr, który podobno rozwalili. Gdyby tylko po dobie udało mi się „rozwalić” teatr zielonogórski!

— Jak Pan trafił do Lubuskiego Teatru?

— Propozycja objęcia Lubuskiego Teatru zbiegła się nieomal z moją decyzją odejścia z Koszalina. Zmiana teatrów co cztery, pięć lat jest zabiegami higienicznymi — chroni przed rutyną i skostnieniem.

— Na czym polega praca dyrektora artystycznego teatru?

— Jestem odpowiedzialny za stronę artystyczną teatru, to znaczy za poziom, dobór repertuaru, kompletowanie zespołu aktorskiego, angażowanie reżyserów i scenografów, a także innych twórców, np. kompozytorów i choreografów. Niechętnie siedzę za biurkiem. Często „podglądam” próby i kontroluję przedstawienia. To zresztą również należy do moich obowiązków.

— Czy chciałby Pan coś zmienić w Lubuskim Teatrze?

— Lubuski Teatr istnieje już 35 lat. Nie trzeba w nim nic zmieniać. Należy jedynie nawiązać do jego najlepszych tradycji. Istnieje w naszym środowisku (choć nie tylko w naszym) dość wredne zjawisko, polegające na tym, że nowa ekipa stara się przekreślić dorobek poprzedników i stoi się w szaty uzdrowicieli. Jestem temu przeciwny. Oczywiście, należy zwalczać różne niedociągnięcia i dążyć do wysokiego poziomu artystycznego teatru.

— Czy mógłby Pan uzasadnić wybór „Wodewilu” na początek swojej pracy?

— Wokół „Wodewilu warszawskiego” rozpetala się już pewnego rodzaju burza. Nie mam nic przeciwko temu, ponieważ wszystkim jest lepsze od obójności. Widzowie odbierają (od dnia premiery) „Wodewil” bardzo dobrze, nato miast prasa, to znaczy „Gazeta Lubuska”, bo nie „Nadodrza”, oraz radio potraktowały ten spektakl z nadmierną, moim zdaniem ostrością. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie mam nic przeciwko negatywnym recenzjom. Własna ocena — to święte prawo krytyki. Krytyk, podobnie jak szeregowy widz, odbiera i ocenia przedstawienie subiektywnie. Istnieje wprawdzie teoria, która głosi, że recenzja powinna być obiektywna, ale nie bardzo w to wierzę.

W każdym sezonie powinniśmy wystawić jedną sztukę muzyczną, bo na sztukę muzyczną istnieje tzw. zapotrzebowanie społeczne, a byłibyśmy głupcami za mykającą oczy na prawa rynku. Ponadto „Wodewil” nie stawiał przed zespołem niedoścignionych wymagań dotyczących możliwości wokalnych. Poza tym — jest but not least — pomysł wystawienia „Wodewilu” powstał jeszcze przed moim przyściem do Lubuskiego Teatru. Poczyniono już wstępne przygotowania, był gotowy projekt scenograficzny. Nie widziałem więc powodu, aby nie wystawić sztuki.

— Czy „Wodewil” spełnił Pana oczekiwania?

— Co się dotyczy odbioru przez widzów — to nawet je przekroczył. A jeżeli chodzi o moją ocenę tego przedstawienia... No cóż, nie gorzej niż recenzenci, widzę pewnie tego niedostatki. Czy mogło być lepiej? Nie wiem, bo nie znam pełnych możliwości naszego zespołu. Cały pierwszy sezon traktuję sondażowo.

— W Gorzowie gra się sztuki ambitniejsze — Dostojewskiego, Gombrowicza...

— Następną po „Wodewilu” pozycją będzie „Ania z Zielonego Wzgórza”. Jeżeli widzowie sprawią nam podobnie miłą niespodziankę, jak przy „Wodewilu”, będziemy bardzo radzi. Również w listopadzie czeka nas premiera sztuki Wasiłja Szukszyna, „Gdy obudzą się rankiem”. Spróbuję w skrócie oddać przesłanie autora: alkoholizm to groźne zjawisko, ponieważ niszczy wartość człowieka, ale walcząc ze skutkami, tracimy z oczu przy czynny. Dodam jeszcze, iż rzecz dzieje się w izbie wytrzeźwień.

Jubileusz XXXV-lecia Lubuskiego Teatru uświetni „Antygona” Sofoklesa. „Oj, znamy, znamy, jękną może niektórzy. Będziemy się jednak starać udowodnić, że „Antygona” nie jest taka nudna... Ponadto proponujemy „Bałkańskiego szpiega” Dusana Kovacevicia farś o zabarwieniu społeczno-politycznym i „Lizystratę” Arystofanesa oraz „Don Juana” Molière’a. Przy czym „Don Juan” zakończy bieżący sezon lub rozpocznie następny.

Kolejną sztukę muzyczną ujrzymy w następnym sezonie. Zupewnie niezobowiązująco mogę powiedzieć, że planujemy musical-horror oparty na filmie Polańskiego „Bal wampirów”.

— Czy mógłby Pan uzasadnić taki dobór repertuaru?

— Uzasadnienie doboru repertuaru za wsze przypomina spacer po linie. Wszak warunkuje go tyle czynników... Oczywiście, mógłbym w tej chwili wytrzasnąć z rękawa zupełnie nową propozycję. Wystarczyłoby na przykład zamienić Molière’a na Fredę, Szukszyna na Wampila, „Wodewil” na „Krowoderskich zuchów” a „Antygona” na „Króla Edypa”. Ale wszak byłaby to czysta demagogia, a demagogia się brzydzi. Problem jest o wiele więcej skomplikowany. Bardzo często teatry narażone są na zarzut eklektyzmu albo, jeśli kto woli, wszystkoizmu, podczas dyskusji o repertuarze. A ja mam na ten temat odmienne zdanie: Przecież eklektyzm to nie inne, jak czerpanie i korzystanie z wielu, bardzo wielu gatunków i rodzajów dramatycznych, na które składają się: komedia i dramat; tragedia a także melodramat, musical, tak zwana awangarda, sztuka polityczna, groteska, baśń dla dzieci i dla dorosłych i tak dalej i tak dalej. Ja kim prawem czynię się nam zarzut z tego, że pragniemy widzowi zaprezentować całą tę różnorodność teatru? Przecież na tym właśnie polega edukacja teatralna. Wspominałem uprzednio, że pierwszy sezon traktujemy sondażowo. Oznacza to z jednej strony sprawdzenie umiejętności zespołu aktorskiego, a z drugiej — co niemniej ważne — zbadanie oczekiwań widzów.

— Czy dobiera Pan repertuar do możliwości aktorów, czy też szuka Pan odpowiednich aktorów do wybranej literatury?

— Przysięgam, że to pytanie mogłoby mnie niebezpiecznie rozmarzyć, ale ponieważ jestem człowiekiem chodzącym po ziemi, odpowiem krótko: tylko teatr telewizyjny może sobie zapewnić idealną obsadę. Oczywiście, że dobieram repertuar do możliwości zespołu aktorskiego, którym aktualnie dysponuję. I tak postępowalem zawsze. Działanie odwrotne byłoby głupotą. Mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że mamy w naszym teatrze i Antygona, i Kreona, i Lizystratę, i Don Juana.

— Jak wygląda Pana współpraca z dyrektorem naczelnym, p. Markiem Górskim, i kierownikiem literackim, p. Janem Rózewiczem?

— Wbrew pozorom to pytanie nie jest wcale trudne. Ale jak odpowiedzieć, aby zabrzmiało wiarygodnie! Współpraca z naczelnym dyrektorem, Markiem Górskim, układa się znakomicie i oparta jest na wzajemnym zaufaniu. Na potwier-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Rozprowadzi w końcu do porozumienia i uzgodnienia stanowisk, a to wszak jest najważniejsze. A co się dotyczy współpracy z p. Rózewiczem. No cóż, za krótko są jeszcze znani. Nie zjedliśmy beczki soli. Kierownik literacki nie miał dużego wpływu na tworzenie repertuaru w bieżącym sezonie. I nie ma w tym jego winy. Po prostu zdecydowałem się odtworzyć repertuar samodzielnie, ponieważ należało zdławić zdecydowanie i na tychmiast, gdyż czasu było niewiele.

— Słyszałem, że Lubuski Teatr, zamiast współpracować z innymi teatrami. Na czym będzie polegała ta współpraca?

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-

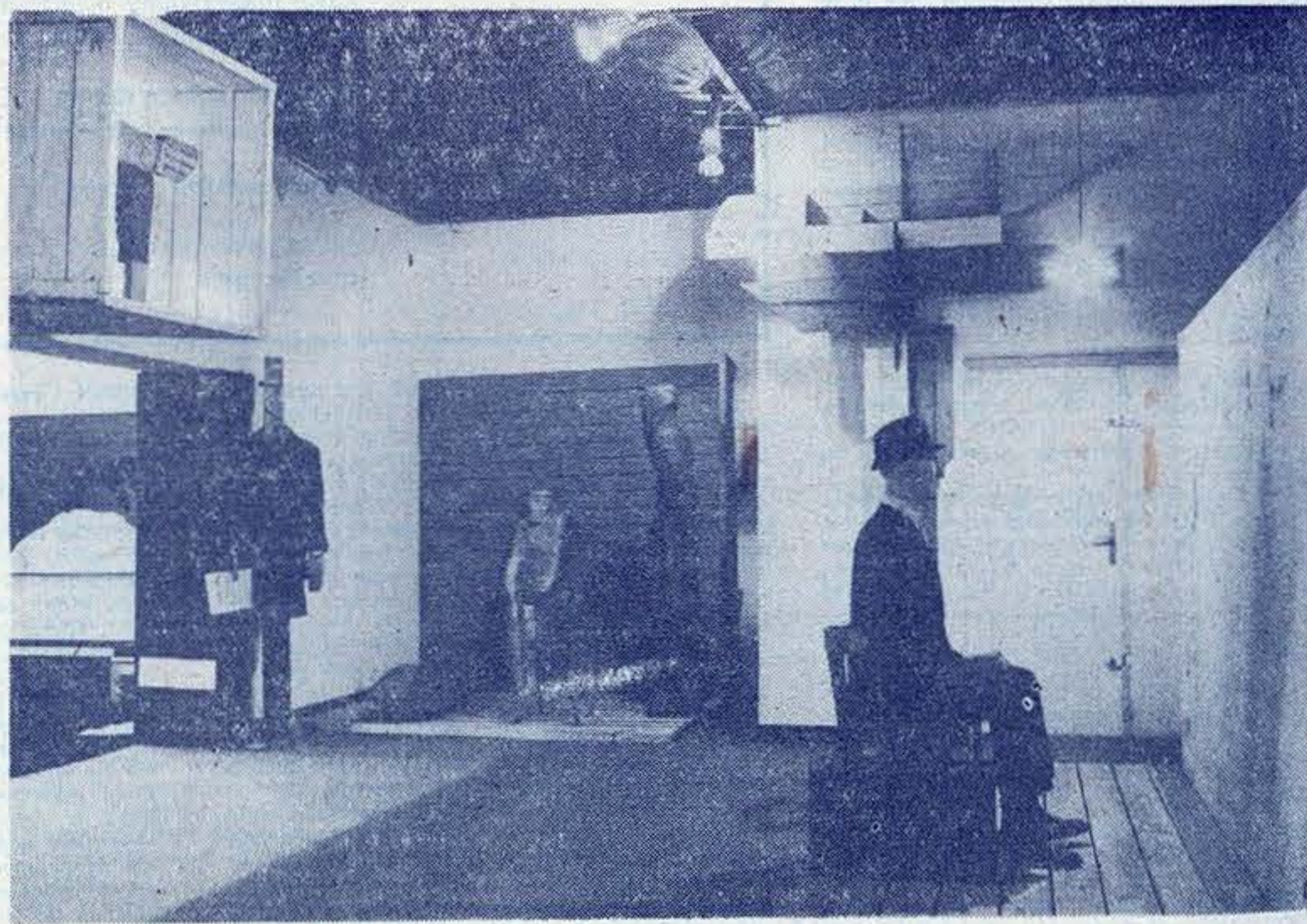
— Wymiana pomiędzy teatrami to wielka korzyść dla naszych widzów. Roz-



JÓZEF
MAREK

Na drugiej kondygnacji Muzeum Ziemi Lubuskiej, za galerią Andrzeja Gieragi, znajduje się galeria Józefa Marka. Muzeum zgromadziło w niej najwybitniejsze dzieła tego artysty rzeźbiarza, o którym zaczyna być bardzo głośno nie tylko w Polsce. Niedawno profesor Józef Marek na Międzynarodowym Biennale „Sport w sztuce”, organizowanym w Barcelonie (w ramach przygotowań do Igrzysk Olimpijskich), otrzymał równocześnie główną nagrodę w dziedzinie trofeów sportowych za pracę „Oszepek”.

Józef Marek urodził się w 1922 r., studiował w pracowni Kławery Dunikowskiego, a dyplom uzyskał w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w 1952 r. Z uczelnią jest związany jest do dziś, będąc jej profesorem. J. Marek jest przede wszystkim rzeźbiarzem, ostatnio zaczął malować. Głównym tematem jego prac jest człowiek wraz ze swoim otoczeniem. Twórczość J. Marka rozwija się etapami. Jerzy Madeyski twierdzi, że artysta ten



Fot. M. WOŹNIAK

RECEPTA NA WIEJSKĄ KULTURĘ?

Tym razem o działalności klubów RSW na terenie rejonu żarskiego rozmawiam z Eugeniuszem Królikiem, za pomocą kierownika Działu Kultury, Oddziału posiada 36 placówek kulturalno - oświatowych rozrzuconych na dużym obszarze obejmującym tereny byłych powiatów: żarskiego, zagańskiego i szprotawskiego. Na podkreślenie zasługuje fakt, że właśnie Oddział w Żarach ma największy odsetek dobrze działających klubów. Niektóre z nich, jak: Chotków, Chwali szewice, Bieniów, Bukowina Bobrzańska, Chichy, Nowa Jabłonna, Przewóz, Jankowa Zagańska, Brzeźnica i Stara Kopernia pełnią funkcje wiejskich domów kultury.

Wiem, że Oddział w Żarach ma swoje kluby rozrzucone na olbrzymim obszarze trzech byłych powiatów. Jak sobie radzisz z dojazdami do tych placówek?

Eugeniusz Królik. — Najczęściej korzystam z autobusów PKS. Czasem za bieram się w teren samochodem dostawczym, które dowożą do klubów prasę i artykuły pozaprasowe. Ale nie raz zdarza się, że trzeba liczyć na autostop, czyli na listosiwe serce przystojnego kierowcy.

Podobno masz najwięcej teatrzyków amatorskich w swoich placówkach. Czy jest na to jakaś recepta?

Czy najwięcej, tego nie wiem, ale jest ich sporo, bo aż 17 zespołów dla dorosłych i 19 dla dzieci. Specjalne recepty na to nie ma, chociaż częściowo tę sprawę ułatwiają animatorzy kultury, zatrudnieni w klubach na umowach. Obecnie mamy ich 16. Są to przede wszystkim nauczyciele, ale zdarzają się też i inni specjaliści w dziedzinie kultury. To animatorzy zajmują się przede wszystkim amatorskim ruchem artystycznym w naszych placówkach. W niektórych klubach działalnością kulturalno-oświatową zajmują się sami gospodarze. Dotyczy to przede wszystkim tych, którzy otrzymali pełne przeszkolenie w Lubuskim Uniwersytecie Ludowym i dostają dodatkę za prowadzenie działalności kulturalno - oświatowej. Takich przeszkolonych gospodarzy mamy już 21.

— Jak wyposażone są kluby?

Większość klubów wyposażyliśmy w meble, stoliki, krzesła, ławy i fotele. To samo dotyczy sprzętu audio wizualnego. W klubach są telewizory do odbioru programów kolorowych, a w niektórych nawet po dwa, z czego jeden do programów czarno-białych. Te ostatnie są najczęściej wykorzystywane do gier telewizyjnych. Ponadto kluby zostały wyposażone w odbiorniki radiowe, magnetofony stereofoniczne, magnetofony kasetowe oraz ZK - 140 i inny sprzęt radiowo - telewizyjny, niezbędny do rozwijania działalności kulturalno - oświatowej i amatorskiego ruchu artystycznego. W niektórych placówkach znajduje się także sprzęt muzyczny.

— Wiele spośród twoich klubów często zdobywało czołowe lokaty w różnych konkursach.

W 1981 Klub w Bieniowie zajął pierwsze miejsce w konkursie pod nazwą „Złota Dziewięćka”. W konkursach „Złota 17” przodowały: Żarki Wielkie w 1982 r., a Jankowa Zagańska w 1984 roku.

Ponadto w różnych latach w konkursach: „Złoty Klub RSW” i „Klubowy Laur” triumfowały lub wyróżniały się takie placówki, jak: Chwaliszewice, Nowa Jabłonna, Chotków, Lipna itp.

— Poza tym, wiele amatorskich zespołów teatralnych z twoich klubów odnosi sukcesy w różnych przeglądach.

Począwszy od roku 1981 w każdym przeglądzie wojewódzkim uczestniczyło 5-6 dziecięcych zespołów teatralnych. Rok 1983 przyniósł wielki sukces zespołowi z klubu w Lipnej Łużyckiej. Teatrzyk ten zakwalifikował się do Centralnego Przeglądu RSW w Białym Stoku, skąd został skierowany na Międzynarodowy Przegląd Teatrzyków Dzieci w Puławach. W roku 1985 sukces ten powtórzył teatrzyk kukielkowy z klubu w Jankowej Zagańskiej. Lalki, które samodzielnie wykonano były tak piękne, że zabrano je do Muzeum Etnograficznego w Łodzi. W roku 1983 znaczny sukces osiągnął teatrzyk

amatorski dla dorosłych z klubu w Starej Koperni, który doszedł aż do Centralnego Przeglądu Teatrów RSW w Tarnowie.

— Jak wygląda codzienna praca kulturalno - oświatowa w twoich placówkach, bo przecież nie wszędzie działają teatrzyki amatorskie?

Działalność kulturalno - oświatowa w klubach jest planowana przez społeczne rady klubów, organizacje młode i samych gospodarzy. Są opracowywane roczne plany pracy, które na stepnie w rozbielu kwartalnym są modernizowane i aktualizowane w oparciu o bieżące wydarzenia lub potrzeby kulturalne środowiska. To się bardzo dobrze udaje w tych placówkach, w których funkcjonują naprawdę dobre rady klubów. Tam gdzie ich nie ma lub są słabe, nie ma mowy o planowaniu działalności merytorycznej.

W klubach dzieją się różne rzeczy, w zależności od zapotrzebowania środowiska i możliwości klubów. Można by wymienić różne formy pracy z dziećmi, a więc zajęcia plastyczne, gry i zabawy, wyświadczenie bajek, wspólne odrobienie lekcji, bo i tak bywa, oraz przeróżne, inne rodzaje rozrywek dla dzieci. Dla młodzieży są dyskoteki, quizy, odczyty, spotkania z dziennikarzami i pisarzami. Jest wręcz teatr telewizji, sprzęt audiowizualny itp. Są też różne sekcje i koła zainteresowań, np.: robótek ręcznych, makram, billardowe, szachowe, warcabowe, itd.

— Jak układa się współpraca z urzędami gmin?

Współpraca z urzędami gmin oraz z komitetami gminnymi PZPR układa się bez zarzutu. Zawsze bardzo dobrze współpracujemy z urzędami gmin: w Przewozie, Brzeźnicy, Żaganie i Niegosławicach. W terenie organizowane są narady kulturalno - oświatowe, w których uczestniczą gospodarze klubów i przedstawiciele Oddziału RSW w Żarach. Na naradach omawiane są sprawy remontów obiektów klubowych, modernizacji klubów oraz działalność programowa.

Natomiast niewiele pomocy otrzymujemy od gminnych ośrodków kultury, które nie posiadają dostatecznej kadry, gdyż jest tam zatrudnionych od jednego do dwóch pracowników. To za mało, jak na potrzeby klubów rozrzuconych na terenie poszczególnych gmin. Wyjątkiem są tutaj Miejsko - Gminny Ośrodek Kultury w Iłowej Zagańskiej i Gminny Ośrodek Kultury w Niegosławicach.

— Dziękuję za rozmowę.
ZENON CZARNECKI

SZCZECIN. Cieszący się renomą Teatr Współczesny, kierowany przez Ryszarda Majora, po kilkumiesięcznej przerwie, spowodowanej remontem swej siedziby, powrócił do gmachu na Wale Chrobrego, kontynuując wystawianie „Białego małżeństwa” Tadeusza Różewicza. Dotychczas odbyło się już ponad 150 spektakli tej sztuki. Równocześnie zespół Teatru pracuje nad sceniczną adaptacją jednej z powieści Gombrowicza. Dodajmy, że właśnie Ryszard Major reżyserował „Iwone, księżniczkę Burgunda” w teatrach Elbląga i Gorzowa. Nie wiemy, jak elbląska publiczność przyjęła Gombrowicza, wiemy natomiast, że w Gorzowie było to udane przedsięwzięcie i wzbudziło duże zainteresowanie publiczności. W najmłodszej uczelni polskiej, w Uniwersytecie Szczecińskim studiuje około 6 tys. studentów, którzy w przyszłości zasila region w nowe kadry fachowców.

GÓRZÓW. Teatr im. Juliusza Osterwy odwiedzi w listopadzie przyszłego roku Francję, gdzie weźmie udział w Festiwalu Sztuki w Lille, wystawiając „Iwonę, księżniczkę Burgunda”. Natomiast prawdopodobnie na początku 1987 roku do Gorzowa zawita zespół francuski w spektaklem „En souffrance” w reżyserii Yves Brulois. Ten reżyser zamierza również przygotować z gorzowskimi aktorami sztukę Pierra Beaumarchaisa „Wesele Figara”, która następnie zostanie zaprezentowana publiczności francuskiej. Już po raz czternasty, tym razem w Gorzowie, został otwarty plastyk Salon Jesienny. W salach Biura Wystaw Artystycznych wystawiają swoje prace artyści z województwa gorzowskiego i zielonogórskiego. Najlepsze prace Wydział Kultury i Sztuki UM w Gorzowie uhonorował nagrodami i medalami. Laureatem i nagrodą został Stanisław Czarniecki z Sulechowa, II - Wiesław Nowakowski z Gorzowa. Dwie trzecie nagrody otrzymali: Janusz Skiba z Zielonej Góry i Wojciech Nawrocki z Gorzowa. Wyróżnienia przypadły: Anatolowi Burcewowi z Zielonej Góry oraz Ewie i Wiesławowi Strebekom z Gorzowa. Honorowe wyróżnienia przyznano Romanie Kaszczyk z Barlinka oraz Gustawowi Nawrockiemu, Andrzejowi Wieczorkowi i Bogusławowi Jagielle z Gorzowa.

WROCŁAW. Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy Wroclawia Cantans, odbywający się co roku we wrocławskim Ratuszu, zdobył już sobie światową renomę ale i stał się ostatnio tematem licznych publikacji, nieraz kontrowersyjnych, w polskiej prasie. Jak informuje „Politykę” dyrygent i szef artystyczny Festiwalu — Tadeusz Strugała, nie jest to wcale najdroższa impreza w kraju, jeśli przypomnimy, iż na przykład Sopot, w którym odbywają się trzy koncerty, kosztuje 50 mln zł. „Wroclawia Cantans” ze swoimi trzydziestoma koncertami jest o wiele, wiele tańsza — stwierdza jej szef. Poza tym trzeba dodać, że goście — wybitni artyści o sławie światowej — udają się później z koncertami do innych miejscowości w kraju. I jeszcze raz zacytujmy Tadeusza Strugałę: „Zwyczajny człowiek z ulicy może w ciągu 10 dni, naturalnie, gdy go to interesuje — usłyszeć takie zespoły i solistów, dla których musiałby objechać całą Europę i wydać praktycznie nieosiągalne sumy”. Istotnie, przez estrady Festiwalu przewinęło się już ponad 22 tysiące wykonawców, a coroczne dawki 30 koncertów na wysokim poziomie plasują Festiwal na najprzedniejszym miejscu w kraju. Warto dodać, że popularyzuje się — wbrew powszechnym mniemaniom — nie tylko muzykę sakralną.

ZBĄSZYNEK. Odbył się tu XII Ogólnopolskie Spotkania „Kolejarskie rytmy”, w których uczestniczyło 14 zespołów z całego kraju. Dwie główne nagrody, ufundowane przez Ministerstwo Komunikacji w wys. 40 tys. zł każda, jury przyznało amatorskiej estradzie kolejarskiej z Domu Kultury Kolejarskiego w Jarocinie i Formacji z DKK w Malasewicach. Nagrody rzeczowe otrzymali: zespół Semafor z Kędzierzyna — Koźli, zespół Splin z Wałbrzycha, zespół Kram z Tarnowskich Gór i zespół AD hoc z Elku. Nagrodę specjalną za trafne ujęcie artystyczne tematyki kolejarskiej przyznano zespołowi z Jarocina, natomiast — dla najlepszego solisty — wokalistę Krzysztofa Badalskiego z Malasewic. Ponadto wyróżniono zespoły z placówek kultury PKP w Choszcznie, Bydgoszczy, Legnicy, duet dziewczęcy i solistę z Jaworzyny Śląskiej, Andrzeja Wiśniewskiego z Choszczyna oraz Annę Kozłowską — autorkę tekstów piosenek wykonywanych przez zespół z Elku.

JASIEŃ. Odbył się tutaj VII Sejmik Kultury połączony z obchodami 25-lecia Jasińskiego Towarzystwa Kultury. Obrady toczyły się w Robotniczym Ośrodku Kultury. Wypracowano program działalności do 1990 roku oraz wybrano nowe władze Towarzystwa. Prezesem został mgr inż. Ryszard Bujalski, dyrektor Fabryki „Zremb”.

ZARY. W 30 rocznicę powstania LTK oraz Żarskiego Towarzystwa Kultury, a także — 40-lecia istnienia Miejskiej Biblioteki Publicznej, w Żarach odbyło się spotkanie członków ZTK, działaczy LTK i prezesów towarzystw regionalnych z władzami miasta. Tym spotkaniem zainaugurowano obchody 30-lecia ruchu regionalnego na Ziemi Lubuskiej. W sali „Dekory” — z udziałem przedstawicieli „Kulturbundu” oraz „Domowiny” z NRD — dyskutowano o różnych formach społeczno-kulturalnej aktywności. W mieście odbyły się okolicznościowe koncerty, otwarto wystawy a także — II Międzynarodowa Sesja Sorabistyczna. Trzech zasłużonych działaczy społecznych: Jerzego Sobczaka, Andrzeja Zubryckiego i Józefa Kamińskiego uhonorowano Złotymi Odznakami LTK. Wielu innych otrzymało nagrody pieniężne, ufundowane przez Wydział Kultury i Sztuki UW oraz LTK.

ZIELONA GÓRA. XXV-lecie oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze obchodzono skromnie, choć w poczuciu satysfakcji z dorobku lubuskiego środowiska literackiego. Między innymi w Woj. Bibliotece Publicznej otwarto wystawę pod hasłem „Znaki obecności”, na której zaprezentowano książki miejscowych pisarzy, liczne fotografie, dokumenty i listy. Michał Kaziów otrzymał Krzyż Komandorski OOP, Zbigniew Ryndak i Henryk Szyłkin — Krzyże Kawalerskie OOP, a kilku pisarzy odznaczono odznakami honorowymi i medalami Zielonej Góry. XXV-lecie swojej działalności obchodziło Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego. Z tej okazji odbyło się wiele okolicznościowych imprez, koncertów solistów i zespołów społecznych ognisk artystycznych oraz recitali, zarówno w Zielonej Górze jak i w całym województwie. Obchody srebrnego jubileuszu zakończył uroczysty koncert symfoniczny w Filharmonii Zielonogórskiej, a orkiestrę poprowadził gościnnie, związany z Zieloną Górą w latach siedemdziesiątych wybitny dyrygentka Ewa Michnik. Odbył się też VIII Walny Zjazd LTM. Delegaci ocenili dorobek Towarzystwa, ustalili plany działania oraz wybrali nowe władze. Funkcję prezesa powierzono Czesławowi Grabowskiemu — dyrektorowi FZ, wiceprezami zostali: Juliusz Karcz i Franciszek Pappelbaum, sekretarzem urzędującym — Stanisław Ciomek. W sali witrażowej Muzeum Okręgowego odbyła się uroczystość wręczenia doc. dr hab. Władysławowi Korcziowi nagrody zielonogórskiego oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich za „Książkę roku 1985”. Nagrodzona praca nosi tytuł „Szkice z dziejów środowiska Nadodrza” i została wydana przez LTK.

ZAPROSILI NAS: Zarząd Wojewódzki ZSMP na seminarium polsko-radzieckie nt. „Młodzież dla pokoju”, organizowane wspólnie z Komitetem Obwodowym Komsołemu z Witebska; Państwowe Pogotowie Opiekuńcze w Zielonej Górze na jubileusz 30-lecia: Muzeum Regionalne w Wolsztynie na otwarcie wystawy „Bazary świata”; BWA w Zielonej Górze na otwarcie wystawy malarstwa Romana Artymowskiego; Oddział Wojewódzki PAX w Zielonej Górze na „Recytatorium '88”; Zespół RSTK przy Narodowej Radzie Kultury, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Gorzowie oraz ośrodek kultury ZWCh „Stilon” na ogólnopolskie seminarium literatury i krytyki RSTK pod tytułem „Nurt robotniczy w literaturze polskiej”. Dziękujemy.

nadodrże
DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-06 Zielona Góra pl. Bohaterów Stalingradu 13 i p. oraz adres dla korespondencji: 65-05 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 308 35 sekretarz redakcji 39 13 oraz centrala 46-61 do 1 i 2 oraz telefony wewnętrzne Telex 0432255
Redakcja: zespół Halina Aśka Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.) Michał Horowicz Janusz Kosiński (red. naczelny) Małgorzata Kowalska Masłowska (stażystka) Zenon Łukasz



O WYCHOWANIU OBYWATELSKIM

Nakładem Wydawnictwa WSP w Zielonej Górze ukazała się rozprawa habilitacyjna Kazimierza Stachury — pracownika Instytutu Historii tejże uczelni pt. „Wychowanie obywatelskie jako przedmiot nauczania w Polsce Ludowej”.

Praca Stachury poświęcona jest wychowaniu obywatelskiemu — jego przeobrażeniom, celom i treściom — w szkole polskiej w latach 1944—1980. Program nauczania tego przedmiotu w szkole często zmieniał swój kształt i formy. Dążenia do szybkiego osiągnięcia zauważalnych efektów wychowawczych, jak słusznie stwierdza K. Stachura, nie

sprzyjały często prestiżowi tego przedmiotu w szkole, a w szczególności polityce oświatowej i ideowo-wychowawczej partii.

Badania nad wychowaniem obywatelskim w szkole cieszą się dużym zainteresowaniem ze strony dydaktyków historii, a w szczególności takich uczonych jak: T. Słowiński, J. Maternicki, L. Mokrzecki, H. Szczegółka, E. Erazmus, B. Ratus, Praca K. Stachury stanowi jak dotąd pierwsze opracowanie monograficzne problemu w dorobku badań nad rolą i statusem wychowania obywatelskiego młodzieży w szkole polskiej.

Za cezurę początkową swej pracy obrał K. Stachura wyzwolenie kraju spod okupacji hitlerowskiej i początki odbudowy szkolnictwa po II wojnie światowej. Kończy zaś swe rozważania nad problemem w czasie przełomu lat 70-tych i 80-tych (krzys sierpniowy). Pracę swoją oparł na materiałach archiwalnych, źródłach drukowanych oraz publikacjach naukowych dotyczących wychowania obywatelskiego (monografie i artykuły w periodykach naukowych).

K. Stachura podkreśla m.in. w swej pracy, że przed październikiem 1956 r. i bezpośrednio po nim, w warunkach braku jedności partii w sprawach ideologiczno-politycznych pojawiły się tendencje sprowadzające funkcje wychowania obywatelskiego w szkole do za-

dań głównie poznawczych. W miarę zaś konsolidowania się partii na gruncie ideologii marksistowsko-leninowskiej nastąpiło stopniowe wyrównanie się proporcji pomiędzy realizowanymi celami nauczania tego przedmiotu.

Po 1970 r. (pod wpływem wydarzeń z marca 1968 r.) „afirmacja nowego kursu politycznego partii w obszar dydaktyki wkraczała stopniowo”. Nasilenie tego procesu nastąpiło w połowie lat 70-tych, chociaż program wychowania obywatelskiego w szkole podstawowej w nie zmienionej postaci przetrwał do 1981 r.

W zakończeniu swej pracy K. Stachura stwierdza, że: „Metodyka wychowania obywatelskiego mimo opóźnień dokonała kroku naprzód i wydaje się wkraczać na okres stopniowego przezwycięzania jednostronności, polegającej na ograniczaniu się do doraźnej pomocy praktyce nauczania (...) określiła specyfikę oraz funkcje przedmiotu. Spełnia wiodącą rolę w kształtowaniu wiedzy politycznej oraz kształtowaniu socjalistycznej kultury politycznej społeczeństwa i młodzieży.”

WIESŁAW HŁADKIEWICZ
Kazimierz Stachura: Wychowanie obywatelskie jako przedmiot nauczania w Polsce Ludowej. Zielona Góra 1984 r. Nakład 250 + 80 egz. Stron 376. Cena zł. 200.

Otwarty konkurs na rysunek satyryczny

Organizatorzy — m.in. Klub Międzynarodowej Prasy i Książki — „Galeria Krzywe Zwierciadło” w Zielonej Górze, Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, redakcja „Nadodrże” — ogłaszają drugą edycję konkursu na rysunek satyryczny poświęconego książce. Uczestnikiem konkursu może być każdy twórca, który w terminie do 15 grudnia br. przekaże na adres organizatorów — KMPIK UL. WESTERPLATTE 19 65-052 ZIELONA GÓRA — maksymalnie 5 rysunków w dowolnym formacie wykonanych dowolną techniką. Przewidziano następujące nagrody:

- Grand Prix — 50 tys. zł
- I nagroda — 40 tys. zł
- II nagroda — 30 tys. zł
- III nagroda — 25 tys. zł

oraz wyróżnienia i nagrody instytucji współdziałających.

Ogłoszenie wyników i otwarcie wystawy pokonkursowej nastąpi w maju 1987 r.

Książki nadesłane

Lubuskie Towarzystwo Naukowe w Zielonej Górze

— Szczegóło Hieronim, Zuber Ferdynand: Ośowa Sień. Monografia Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej Zielona Góra 1986. Wyd. II, str. 247. Nakład 1 000 egz. Cena 250 zł.

— Polskie tradycje wojskowe Środokowego Nadodrza. Praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Toczewskiego. Zielona Góra 1986. Wyd. I, str. 152. Nakład 600 egz. Cena 200 zł.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze

— Dutka Czesław P.: Młot i gest. Bohater kordianowski prozy rozrachunków inteligentnych. Zielona Góra 1986. Wyd. I, str. 272. Nakład 580 egz. Cena 280 zł.

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe

— Sojka Tadeusz: Sagan Befehl. Fakty i dokumenty. Zielona Góra 1986. Wyd. III, str. 256. Nakład 10 000 egz. Cena 200 zł.

wicz (z-ca red. nac.) Wiesław Nodzyński (sekretarz red.) Piotr Plotkowski Ryszard Rowiński Alfred Siatecki Korketa Maria Fiedorowicz Elżbieta Katerów sekretariat redakcji Elżbieta Walaszkiewicz sekretariat „Prasa — Książka — Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna 46-61 do 67 Dyrektor: Zbigniew Piłkiewicz tel — 317-95

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Rele 5 Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW Prasa Książka-Ruch 65-042 Zielona Góra al Niepodległości 25 oraz w siedzibie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka Ruch” na terenie całego kraju Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada Zamówienia i reklamacje nie zamawionych reklamów redakcja nie zamawionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.

PO POWROCIE Z PARYŻA

Redaktor Zenon Łukaszewicz przebywał ostatnio w Paryżu na zaproszenie pewnej baskijskiej gazetki. Potwierdził doznania innych służbowych podróżników. W mieście tym, jak w Zielonej Górze i Warszawie, idzie ku gorszeniu. Parówki w Paryżu jeszcze są, ale kawiarnia artystyczna przestaje istnieć. Oznacza to, że żaden Erenburg nie napisze „Burzliwego żywota Lejzorka Rojtszwana”, ponieważ nie ma Roton dy. Zaden Sartre nie napisze esej o antysemityzmie, bo lokal w dzielnicy Saint Germain, jak lokale w Zielonej Górze, zszedł na psy. Bardziej żyje legenda aniżeli dniem dzisiejszym.

Redaktorowi Łukaszewiczowi nie udało się zakupić gastronomicznej serwetki ze szkicem współczesnego Modiglianiego, zapoznanego jeszcze, ale mającego szansę bycia rozpoznany i docenionym. Nabył paczkę kawy.

Brak artystycznej kawiarni oznacza dla Paryża upadek funkcji światowego alembiku nowych idei w sztuce. Centrum Pompidou, jak Wojewódzki Dom Kultury przy ulicy Sienkiewicza w Zielonej Górze mimo starań obydwo dyrekcji, nie przyciąga brodatych facetów którym skapnęło z palety na sztruksowe spodnie, ani zwirowanych milione rek, które nie mają innych trosk, poza jedną — jak w sposób delikatny, nie budzący wstrętu, wręczyć parę dolarów niedowartościowanemu poetom.

W Centrum Pompidou, oprócz rur, mają absynt, calwados, bourbon, wodę Vichy, robuste, ale nie mają brodaczy, przed którymi można to wszystko postawić, na których, bez większego ryzyka, można też postawić. W WDK mają rury, herbatę zamelinowaną w biurkach, oraz ten sam problem — na kogo postawić?

Zmierzach artystycznej kawiarni, tak bardzo związanej z dziejami nowożytnej kultury europejskiej i przyrostem demograficznym w artystycznym świecie, jest zjawiskiem ogólniejszym. Podobnie dzieje się w Rzymie, Wiedniu, Madrycie, Moskwie; artystyczna kawiarnia warszawska przeniosła się do Podkowy Leśnej, do tamtejszego biura parafialnego. Inni bywalcy przenieśli się do Krakowa, na ulicę Wiśnią 12.

Zmierzach kawiarni artystycznej w Warszawie sprawia wielu osobom przyjemność. Demony z Krakowskiego Przedmieścia, ferujące bezzwzględnie w

roki, kreujące sezonowe sławy, przestały funkcjonować. Natomiast co zintegracja, wymiana doświadczeń, pozostaje pytaniem bez odpowiedzi. W każdym razie, nie dopłyną do nas krzepiące wieści, że właśnie na postument wprowadza się nową postać.

Moja chata za wsią. W funkcjonowaniu zielonogórskiej kawiarni artystycznej dostrzegam mnóstwo pozytywnych. Otóż Tadeusz Jasiński, po napisaniu opowiadania regionalnego o charakterze uniwersalnym pt. „Helka” dziejące się w budce wagonu towarowego po ciągu pędzącego szlakiem Rzepin — Sułecin, gdzie syn przeżył kontakt osobisty z własną mamusią (Europa — kompleks Edypa), ten nasz Tadeusz Jasiński w kawiarni „Paloma” w Zielonej Górze, zamówił sobie u ślicznej kelnerki jajecznicę i zmienił stolik. Kelnereczka (palce liżąc) zwróciła się do p. Jasińskiego z kwestią: redaktorze jaka panu stęgnęła? On zaś z najniewinniejszą w świecie miną, zapytał, skąd pani wie, że ja nie noszę ciepłej bielizny?!

Kawiarnia artystyczna w Zielonej Górze była. Odegrała swoją rolę. Dziś jej nie ma. Również z tego powodu, że ce na szklanki kawy wypitej w publicznym miejscu jest ponad możliwości kieszonki artysty.

Życie nie znosi pustki. W kawiarniach de nomine, anonimowy tłum du dli orandażkę wyprodukowaną przez spółdzielczość inwalidzką. Nikt przytomny nie zamówi jajecznicy. Gdzie się więc udali artyści? Czyżby ich nie było? Dowiaduję się ze sfer zbliżonych, że brak kawiarni artystycznej, przynajmniej wśród młodych twórców naszej kultury, został zastąpiony pobytami w tak zwanym trójkacie bermudzkim — „Ratuszowa”, pawilony zlokalizowane od strony wychodka „Delikatessów”, piwniarni pn. CPN na ulicy Sikorskiego. Obszar posiewu intelektualnego, jak na stutysięczne miasto średniej wielkości, jest więc spory. Ale i stamtąd, z plotek których autorami są koła zbliżone, dowiedziałem się, że red. Łukaszewicz jest najlepszym w Zielonej Górze adiu statorem tekstów literackich!

RYSZARD ROWIŃSKI

MARGINALIA

WIELKI SZULER. Pod takim tytułem Jolanta Pieczka publikuje rozmowę z aktorem Janem Nowickim („Tak i Nie” nr 45). Aktor wyznaje m.in.: „W pewnym okresie byłem w doskonałej formie, każdej. Miałem taką żywą inteligencję aktorską. To mi jakby przeszło, ale jeszcze potrafię uprawiać ten zawód, tylko rolę jest niewiele do grania”. Później aktor dodaje, że nie ma żadnego światopoglądu, żadnej filozofii, aktorstwo traktuje jako „przystanek, na którym muszę się zatrzymać i zastanowić nad tym, co mnie czeka w związku z zmianą moich warunków psychofizycznych”, zaś „Teatr nigdy nie był miejscem mojej materialnej egzystencji”. To jakby oczywiste i zrozumiałe, skoro Nowicki ma na swym koncie około 50 ról teatralnych i aż 70 filmowych. Gerzen, że mając 47 lat utracił „żywą inteligencję aktorską”. Współczujemy.

PLAGIAT. Jacek S. Józwiak w 45 numerze „Rzeczywistości” opisał życie więźniów w reportażu pt. „Co jest za tym murem”. Autor powtórzył w dosłownym brzmieniu tytuł głośnej swego czasu książki Jacka Stwory (wydanej w 1967 r.) — powieści osnutej na autentycznych zwierzeniach więźnia. Jacek S. Józwiak popełnił więc plagiat, bowiem tytuły wielośćlonowe podlegają ochronie prawnej.

NIEKONSEKWENCJE. „Żywocik literacki” („Życie Literackie” nr 45), polemizując z Passemtem, stwierdza: „Imię Ajmatowa przyjęło się u nas pisać Czingiz nie Czingis, pewnie dlatego, by go nie mylić z Czingis-chanem”. Tymczasem w tym samym numerze krakowskiego tygodnika, wbrew powyższemu sugestiom, Leszek Bugajski w szkicu „Wspólny krąg” używa pisowni — Czingiz. Podobnie jest na okładkach przełożonych na język polski książek wybitnego pisarza. Zazwyczaj nieomylny „Żywocik” tym razem okazał się omylny...

ZAROZUMIAŁOŚĆ. Zbigniew Jerzyński lubi pisać na klasyka polskiej literatury współczesnej, śpiąc obficie (zwłaszcza na łamach „Przeglądu Tygodniowego”) aforyzmami i sentencjami na miarę (?) kontemplującego poety — filozofa. Ostatnio Piotr Dumin w „Nowych książkach” (nr 7—8) przeprowadził ze Zbigniewem Jerzyńskim rozmowę o pokoleniu „Współczesności”, a zwłaszcza o jego osobistych kontaktach z Grochowiakiem. Jerzyński w konsekwentnej zarozumiałości stwierdza: „Jest absolutną

bzdurą twierdzenie, że byłem jego uczniem. Rzeczywiście adaptowałem pewne jego chwytły poetyckie, ale przetwarzając je. Z kolei Grochowiak — nawet przyznawał się do tego — korzystał z charakterystycznych dla mnie skrótów poetyckich”. Imputowano już Grochowiakowi fascynację barokiem i Norwitem, Gałczyńskim i kim tam jeszcze, ale o wpływie Jerzyna nikomu się nawet nie przyśniło. Ale Jerzyński jest o tym przekonany. Jego sprawa. Tylko niech nie wygłasza publicznie takich nonsensownych opinii.

RADY PANI ANNY. Z niekończącego się serialu „Płeć i charakter” tym razem Anna Błażucka na łamach „Rzeczywistości” (nr 46) pisze: „Niepewność! Oto stan, w którym kobieta wtrąca męczyźnie, jeśli pragnie usidlić go na dobre i sprawić, żeby codziennie umierał dla niej w butach. (...) Piętaszek nie mogąc tego przeczytać (intymnego notesiku p. Anny — nasz przyp.), myśli sobie, że prawie każde słowo jest o nim lub o jego domniemanych rywalach, dostaje niekiedy na tle notesiku białe gorączki. I o to właśnie chodzi, gdyż ta biała gorączka wiąże go ze mną silniej niż cokolwiek innego. Każda obrotna kobiecie winna w odniesieniu do czytającego jej awanse męczyźnie mieć taki notesik. Niekoniecznie pisany. W zupełności wystarczy, jeśli coś powie, ale nie dopowie do końca, pozostawiając rzecz niejako w stanie zawieszenia. Za pomocą niedopowiedzeń można wywołać taką samą białą gorączkę jak za pomocą nieczytelnego notesiku”. Umierać z miłości z powodu notesiku, i to jeszcze konać w butach — to zbyt pretensjonalne i staroświeckie. Chyba, że buty są przedniej jakości, ale u nas to się rzadko zdarza.

KOLEJKA PO OPONY. Tygodnik Każdego Konsumenta „Veto” (nr 46) zamieszcza list Mariana Kosiora z Barlinka, który opisuje swoje kłopoty z zakupem opon do pojazdu pod ładną nazwą syrena: „Aby uniknąć kolejek w „Polmozybie”, Wydział Handlu w Gorzowie wprowadził w 1983 zapisy na opony do samochodów. Zapisalem się na dwie opony do „Syreny”. Po upływie pół roku zapisalem się na następne dwie opony. Uważam, że mam problem „z głową”. (...) Dowiedziałem się, kiedy przyjdzie moja kolej. Podczas ostatniej wizyty w Wydziale Handlu Urzędu Gminy w Barlinku powiedziano mi, że od wiosny 1983 do października 1986 gorzowski „Polmozyb” sprzedaje gminie Barlinkę cztery (!) opony do „Syreny”. Jeśli w takim tempie będą realizowane listy, to zamówione opony otrzymam dopiero po roku 2000. Ktoś sobie robi kpiny z klientów. Tylko — dlaczego? Nie mamy odpowiedzi na to pytanie, choć sądzimy, że warto przesiąść się na rower, bo do niego opony jeszcze podobno są...

KONKURS NA DŁUGIE WIECZORY

WSPÓŁORGANIZATORZY: LOT, WPHW, ORBIS, LKUP, I „NADODRZE”

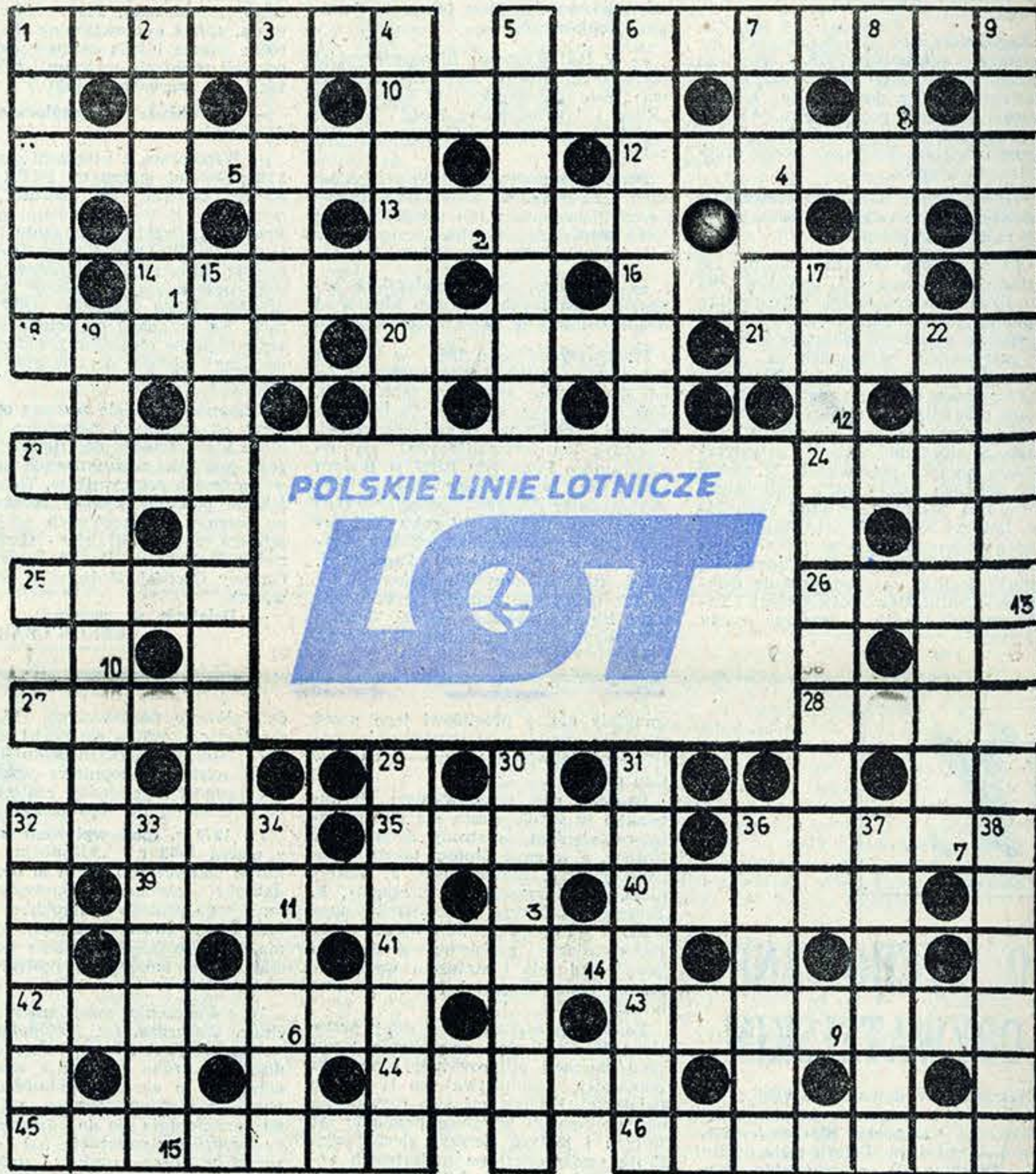
Drodzy Czytelnicy, oto pierwszy odcinek konkursu, który — mamy nadzieję — będzie miłą rozrywką na długie jesienno-zimowe wieczory. Konkurs składa się z dwóch etapów. Pierwszy polega na rozwiązaniu krzyżówki i odgadnięciu hasła — do wylosowania będą nagrody ufundowane przez LOT (w następnych numerach kolejno przez WPHW i Orbis). W drugim zaś etapie proponujemy odpowiedź na pytania zamieszczone w opublikowanym poniżej kuponie oraz nadesłanie, po zakończeniu całego konkursu, kompletu odpowiedzi z trzech kolejnych wydań „Nadodrza”. Dla cierpliwych ufundowaliśmy atrakcyjne nagrody rzeczowe. Szczegóły — obok kuponu z pytaniami. Życzymy szczęścia!

DO WYGRANIA M.IN. RADIOMAGNETOFON „KASPRZAK”, BEZPŁATNY PRZELOT NA DO-

WOLNEJ TRASIE KRAJOWEJ, RADIO „MONIKA”, MLYNEK DO KAWY, SPIWOR, ŻELAZKO ELEKTRYCZNE, ZEGARKI, TORBY TURYSTYCZNE, KALKULATOR NOTESOWY.

W tym numerze nagrody fundują Polskie Linie Lotnicze LOT Oddział w Zielonej Górze: • bezpłatny przelot na dowolnej trasie krajowej • torba sportowa LOT • reklamowe karty do gry w brydża • maskotka „Skaczący krupier”.

Każdy ma szansę! Wystarczy rozwiązać krzyżówkę a litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą hasło, które — wraz z zamieszczonym obok „Kuponem nr 1” — należy przesłać na adres naszej redakcji do 18 grudnia br. Wyniki losowania podamy w 26 numerze „Nadodrza”.



KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Poziomo: 1. Formowanie składu zecerskiego. 6. Konny zapasnik corridy. 10. Zamęt. 11. Ustronne pomieszczenie. 12. Kociol parowy. 13. Holenderski poeta 1581—1647. 14. Stadium rozwojowe wielu zwierząt. 16. Sala, modlitwa odmawiana 5 razy dziennie przez muzułmanów. 18. Dowódca obrony Warszawy w 1939 r. 20. Znany aktor włoski 1828—82. 21. Część Talmudu. 23. Produkt pszczoły. 24. Obóz tatarski. 25. Sład. 26. Futro z tchórza. 27. Jabłecznik, napój alkoholowy z jabłek. 28. ... Karenina. 32. Ssak leśny. 35. Wspólna uczta pierwotnych chrześcijan spożywana na pamiątkę Ostatniej Wieczery. 36. Wieś nad Po krzywiąnką. 39. Grabież. 40. Odmiana węgla brunatnego. 41. Różnica między kosztem własnym a ceną zbytu. 42. Narodowa Demokracja. 43. Przyprawa do ciasta. 44. Pająk wodny. 45. Niezborność ruchów. 46. Nazwa stopy wierszowej trójstopowej o dwóch sylabach krótkich i trzeciej długiej.

Pionowo: 1. Ryba słodkowodna. 2. Szczyt w Himalajach. 3. Przyroda. 4. Niemiecki teolog i filozof ok. 1260—1327. 5. Pisarz niemiecki 1878—1956. 6. Figlarz. 7. Rzeka w azjatyckiej części ZSRR. 8. Polski komik filmowy ur. 1900 r. 9. Państwo graniczące z Ugandą. 15. Piramidon. 17. Skupisko ludności. 19. Dzikie żyjące ssaki. 22. Część archipelagu Sporady Południowe. 29. Polak starej daty. 30. Despota. 31. Pokrzywa. 32. Wyspa na Bałtyku. 33. Zarządca majątku. 34. Ropień. 36. Republika we wschodniej Afryce. 37. Polityk brytyjski 1883—1967. 38. Szwajcarski filantrop 1828—1910.

Opracował: STANISŁAW GARSTKIEWICZ

WYTNIJ! ZACHOWAJ!

Czytelników, którzy chcieliby wylosować jedną z nagród ufundowanych przez naszą redakcję prosimy o wypełnienie zamieszczonego obok kuponu. Podobne kupony (lecz z innymi pytaniami!) opublikujemy w nr 25 i 26. Wśród tych z Państwa, którzy do 14 stycznia 1987 r. nadesłali komplet odpowiedzi (tj. trzy kupony, wyłącznie oryginalne) rozlosujemy: radiomagnetofon, „Kasprzak”, kalkulator notesowy, trzy zegarki i dwie „Encyklopedie seniora”. Wyniki podamy w nr 2 z 25 stycznia 1987 r.

Rozwiązanie zadań z nr 22 opublikujemy w następnym numerze. Przepraszamy.

LOT

1. Proszę podać, w którym roku powstały Polskie Linie Lotnicze. Odp.

2. Proszę podać datę (miesiąc i rok) lotu inaugurującego lotnicze połączenie Zielonej Góry z Warszawą. Odp.

3. Czy ilość przewiezionych pasażerów odtajujących z Zielonej Góry od początku istnienia Oddziału PLL LOT w Zielonej Górze jest w przybliżeniu równa ilości mieszkańców (zakreśl właściwą odpowiedź):
a) Nowej Soli b) Zielonej Góry c) Poznania

(imię i nazwisko)

(dokładny adres)

KUPON

nr 1